

1 września 1939 roku zastał mnie w Baranowiczach. Mieszkałam tam z moim mężem - Witoldem Skotnickim. Pracowałam wówczas w magistracie miasta, w dziale elektrycznym. Wybuch wojny był dla mnie wielkim szokiem, ale nie zaskoczeniem. Już od lipca na Kresach ludzie przepowiadali wojnę. Słyszeliśmy o Gdańsku, o zatargach między Niemcami a Polakami. Mówiono, że przyczyną wojny będzie właśnie Gdańsk. Mimo, że na prawdziwą wojnę na Kresach przyszło nam jeszcze trochę poczekać, ja odczułam jej skutki już od samego początku. Drugiego września został powołany do wojska mój mąż Witold. Był porucznikiem rezerwy, brał udział jeszcze w wojnie polsko - radzieckiej dwudziestego roku. Był osadnikiem na kresach, nadano mu ładny mająteczek koło Nieświerza. Ziemia jego ojca pozostała po 21-szym roku po stronie radzieckiej. Skotnicy pochodzili ze Słuczczyzny. Odprowadziłam go na dworzec, a był przed cudowny dzień, piękna pogoda, ciepło. Pobeczałam się oczywiście okropnie, jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że widzę go po raz ostatni.

Losy całej mojej rodziny były bardzo smutne. Mój ojciec był ziemianinem, posiadał majątek - Kmiciankę, parę kilometrów od Nowogródka. Mój najstarszy brat Bohdan mieszkał w Białowirze, był tam nadleśniczym. Został aresztowany już 17 września i wywieziony w nieznanym mi kierunku. Wywieźli go i słuch o nim zaginął. Prawdopodobnie zginął w jakimś z obozów, jednak nie znalazłam jego nazwiska na liście. Mój drugi brat mieszkał z rodzicami. 2 września pojechał samochodem do Wilna, zaoferował się, że odwiezie polskich oficerów. W Wilnie sprzedał samochód i wysłał pieniądze żonie, aby natychmiast dołączyła do niego. Ale ona nie chciała zostawić swoich rodziców. Żona nazywała się Junikowska Aleksandra, majątek - Zelatowszczyzna, położony w okolicy Baranowicz. Skutek decyzji Oli był taki, że ją wywieźli. Witold, który przeżył wojnę, nie doczekał się żony. Podobnie, jak ja swego męża, nie ujrzałam jej już nigdy.

Ja starałam się siedzieć w Baranowiczach jak mysz pod miotłą. Męża nie było, miałam na utrzymaniu sześciolletnią córkę - Janinę.

Zajmowałam trzy duże, komfortowo urządzone pokoje na ulicy Kopernika 5. Chodziłam nadal do pracy i czekałam na rozwój wypadków a przede wszystkim na wiadomości od męża. Kilka dni później Niemcy zaczęli bombardować miasto. Było to straszne. Bombardowali przeważnie dworzec i koszary, tam stało jeszcze masa wojska. Bałam się okropnie, bomby padały bardzo blisko naszego mieszkania - mieszkałam tuż przy dworcu. ~~NIEMCY~~. Jak były naloty, nigdy nie szłam do piwnicy. Biegłyśmy z Inką do ogrodu, koło domu był duży sad. Tam kładłyśmy się pod drzewa. Tak wydawało mi się bezpieczniej. Było kilka takich wypadków, że zasypało ludzi, którzy chronili się po piwnicach. Nie pamiętam dokładnie kiedy w mieście zjawili się Niemcy, zresztą nie siedzieli długo. Wkroczenie obcych wojsk nie spowodowało w moim mniemaniu poważniejszych zmian czy zakłóceń. Ja chodziłam jak zwykle do pracy, na godzinę 8, o 3 po południu wracałam. Niemcy nie wtępalili się do niczego. Nie zaczepiali, nic nie mówili. Nie słyszałam o aresztowaniach czy rozstrzelaniach. Pytali tylko o rodziców i o męża. Jeśli ktoś miał rodzinę po stronie niemieckiej, mógł się zgłosić i wyjechać na tamtą stronę. Ale do niczego nie przymuszali. Tak więc żadnych przykrości ze strony Niemców nie miałam.

Nikt nie spodziewał się wkroczenia Rosjan, absolutnie. Było to dla nas niesamowite, ale i potworne w swej wymowie, zaskoczenie. Rosję i Rosjan radzieckich znaliśmy tylko z opowiadań. Wiedzieliśmy tyle, że po tamtej stronie granicy panuje głód, że ludzie nie mają co jeść, że są ustawicznie prześladowani przez NKWD, że nie ma tam rodziny, z której w więzieniu nie siedziałby ktoś z najbliższej rodziny. Słyszeliśmy straszne rzeczy o tym kraju, nie wiem na ile to wszystko było prawdą. W każdym razie nie chwalono, a mocno ganiono.

19 września normalnie poszłam do pracy. Na ulicy zobaczyłam żołnierzy radzieckich, niemieckich już nie było. Ni stąd ni zowąd. Co rzucało się natychmiast w oczy: w porównaniu z niemieckim, wojsko radzieckie wyglądało bardzo mizernie. Tamci byli ubrani elegancko, czysto, zapięci na ostatni guzik, jak to Niemiec. Rosjanie wyglądali

jakby właśnie z pola zeszedli, czy wrócili z obory, jakby przed chwilą gnój rzucali na wóz. Latem czy zimą chodzili w tych swoich czapach. Do tego jakieś nieciekawe buty okręcone onucami. Stare szynele. Karabiny mieli zawieszane na rzemykach. Nie były to jednakowe rzemienie, przeważnie były zrobione ze sznurka. Nie była to więc gromada jednakowa, każdy inaczej ubrany. Szczególnie w kwestii obuwia: każdy nosił to co miał.

Jak zobaczyliśmy po raz pierwszy tych Krasnoarmiejców, to jeden z nich wyciągnął sturublówkę i chwalił się, że są to duże pieniądze i pytał co można za to kupić, czy my mamy takie. My mówiliśmy, że nie mamy, posiadamy jedynie złotówki. "To już za polskie nic nie kupicie, musicie mieć takie czerwonce." Oni je nazywali czerwonce. Na szczęście przez ten czas mało miałam do czynienia z Rosjanami.

Potem zaczęli przychodzić do zakładów pracy. Kto umiał po rosyjsku to mógł się porozumieć. Przeważnie, jako mieszkańcy Kresów, dobrze rozumieliśmy rosyjską mowę. Mieliśmy przecież kontakt z Białorusinami a ich język był bardzo zbliżony do rosyjskiego.

Moimi kierownikami w magistracie byli pan ~~XXXXX~~ <sup>MACHAJ</sup> Mikaj, imienia nie pamiętam i pan Władysław Czyżewski. Z chwilą gdy w magistracie pojawili się komisarze radzieccy, czy jak ich tam nazwać, <sup>MACHAJ</sup> Mikaja natychmiast aresztowano. <sup>MACHAJ</sup> Przed wojną Pan Mikaj siedział jakiś czas w Berezie Kartuskiej, za poglądy komunistyczne. Potem go wypuszczono i mógł ponownie podjąć pracę. Rosjanie nie lubili komunistów polskich, w ogóle żadnych polityków. Pana <sup>MACHAJ</sup> Mikaja wywieźli gdzieś w nieznane i ślad po nim zaginął.

Cały okres do wywózki pracowałam. W naszej pracy nie zaszły jakieś szczególne zmiany, może poza obecnością Rosjan. Tak jak pracowaliśmy tak pracowaliśmy, tylko że wprowadzono nam nocne dyżury. Zmieniła się natomiast sytuacja ekonomiczna. Pojawiły się trudności z zakupem żywności. Ceny podskoczyły gwałtownie, pojawiły się kolejki, za wszystkim trzeba było latać, szukać. Brakowało chleba, masła, cukru. Rosjan nie widywałam szczególnie na ulicach, może dlatego, że po skończonej pracy starałam się wrócić jak najszybciej do domu. Żołnierze radziec

cy zajmowali koszary pozostawione powojску polskim. Powiedziałabym, że Rosjanie nie ingerowali w życie miasta. Może gdzieś tam dokuczano poszczególnym jednostkom, ale ja tego na własnej skórze nie odczułam. Nie stykałam się z żadną propagandą prokomunistyczną. Ale, jeszcze raz powtórzę, ta sytuacja związana była w dużej mierze z prowadzonym trybem życia. Miałam na utrzymaniu córkę i to absorbowало całą moją uwagę. Moja droga to było tylko dom - biuro, biuro - dom. Wieczorem w ogóle nie wychodziłam z domu. Przecież byłam młodą kobietą i nie chciałam się narażać na żadne zaczepki, spotkania, i tak dalej. Jedyne wypadki z domu to w poszukiwaniu żywności. Już nie można było kupić mięsa ani wędliny. Potem, kiedy zaczęły się mrozy, trzeba było szukać jeszcze opału.

Potem, jak zrobiło się bardzo "gorąco", jak zaczęli grozić, że będą wszystko zabierać, wsiadłam na rower, popakowałam swoje najcenniejsze rzeczy - trochę złota, poza tym dubeltówki, moją i męża i pojechałam. Do Kmiecianki było około 70 km. Trasę tę zrobiłam w jeden dzień. Dubeltówki zostawiłam u brata w Nowogródku a złoto zawiozłam do mamy. Mama nieopatrznie włożyła je do szuflady. Wieczorem przyszło wojsko sowieckie i jak raz przeprowadziło rewizję. Powybierali wszystko co się tylko dało. Oczywiście, natknęli się również na złoto. Masę rzeczy zabrali wówczas z Kmiecianki. Ja byłam bardzo niespokojna o Inkę, która została z panią Ostapowicz, nauczycielką. Pani Ostapowicz mieszkała razem z nami w jednym domu. Ojciec zorganizował furmankę. Załadowali mnie z rowerem na tę furmankę i pojechałam z powrotem do Baranowicz. Wtedy jechała ze mną Nastka. Nastka pracowała u ojca na folwarku. Przyjechaliśmy do Baranowicz. Furman i Nastka odpoczęli, jedną, czy więcej nocy przespali i wrócili do Kmiecianki. Ja już Kmiecianki nie miałam okazji więcej zobaczyć.

Pobyt na wsi nie natchnął mnie optymistycznie. Dowiedziałam się wielu przerażających rzeczy o zachowaniu Rosjan. Rosjanie już w pierwsze dni popalili wszelkie zabudowania gospodarskie. Co prawda nie domy mieszkalne, ale stodoły, obory, gumna, wszelkie isano i zboże. Inna wersja

głosiła, że zrobili to polscy partyzanci, nie chcieli, żeby to wszystko dostało się w radzieckie ręce. Jaka była prawda - nie wiem.

Z drugiej strony Nowogródka, jakieś dwadzieścia kilometrów od Kmiecianki, znajdowała się posiadłość pana Bergera. Kiedy weszło do niego wojsko, aby przeprowadzić rewizję, on nie chciał wpuścić ich do mieszkania. Zdawał sobie sprawę, że oczywiście wszystko by mu porozbijali, pozabierali. Próbował stawić opór. Oficer strzelił mu w brzuch, bez żadnego słowa, z karabinu. P<sup>o</sup> wsi krążyły pogłoski, że rozstrzelują. W ichnatowie był majątek mojej matki. Tam mieszkała jej zamężna siostra. Jej mąż nazywał się Jan ~~W~~ Waszcynin. Zabrali go wraz z zięciem, Walkowskim Władysławem. Poprowadzili ich przez las w stronę Nowogródka i tam w tych lasach ich gdzieś rozwalili. Ponoć takich przypadków było więcej. Ja znam tylko te dwa, bo były to bliskie mi osoby.

Ojciec opowiedział mi, jak Rosjanie po raz pierwszy weszli do Kmiecianki. Ojciec siedział wtedy przy stole, na ganku i jadł zupę mleczną. Oficer podszedł i zapytał: "Gdzie pamieszczyk". A "Pamieszczyk" to był obszarnik. Ojciec mówi: "To ja jestem pamieszczyk". "Ty pamieszczyk, to tak pamieszczyk wygląda?". I zaczęli się śmiać. Oni sobie wyobrażali, że "pamieszczyk" musi chodzić w jakiś futrach, w złocie, w aureoli jakiejś. A ojciec był ubrany normalnie, jak na codzień chodził do pracy, żeby wyjść zobaczyć co się dzieje w polu, co się dzieje w stodołach i tak dalej. Rosjanie nie mogli się nadziwić, że tak może wyglądać obszarnik. Im się w głowach nie mieściło, oni byli tak naszpikowani, że pamieszczyk to diabli wiedzą kto. Obszarników w większości wymordowali, to na pewno. Ci, co nie zdołali uciec, smutno skończyli. Mojego ojca nie ruszyli z tego względu, że miał wówczas 80 lat. Był już zupełnym starszkiem. Młodzi puciekali, młodych nie było. Zostawali Białorusini, albo we wsi chłopcy.

Polskie zaścianki wyludniły się. Zaścianki to były niewielkie gospodarstwa polskie o pięknych nazwiskach, takie jak zaścianek Michałowskich, Orzechowskich czy Budkiewiczów. Majątek musiał mieć więcej hektarów, zaścianek wystarczy jak 15, 20. Ale to już nie było

gospodarstwo chłopskie. Nasz majątek miał około 200 hektarów. Piękne to było gospodarstwo. Było tam z 50 krów, 8-10 par koni, masa młodzieży, tzn. cieląt, owiec i niezliczona ilość świń. Jednak nie był to majątek specjalnie obszerny. Obok posiadłość Pucewiczów liczyło jakieś 500 ha, Osmołowo 800, Niechrymowo z 450-500, Łopuszno około 1000. To już były całe obszary. No ale nasz był całkiem zasobny, był przy tym wygodny, bo leżał blisko miasta. Wszystko co się wyprodukowało, można było natychmiast spieniężyć.

Białorusini po wkroczeniu Armii Czerwonej zachowywali się względem obszarników jak najlepiej. Ani my, ani nasi sąsiedzi nie mieli od nich żadnych przykrości.

Ja tymczasem siedziałam w Baranowiczach jak mysz pod miotłą. Modliłam się, aby tylko przetrwać. Ludzie nie organizowali oporu, po prostu bali się. Bo jak u nas UB, tak tam NKWD napędzało tyle strachu, gęsiej skórki, że nikt nie śmiał nawet nosa wytknąć. Jak jeszcze Rosjanie nie weszli do Polski, to od sąsiadów dowiadaliśmy się, że ten aresztowany a ten wywieziony. Oni mieli możliwość aresztować Polaków, którzy zostali po tamtej stronie granicy, aresztować, wywieźć na białe niedźwiedzi i sprawa była skończona. Słyszałam o wywozach do Murmańska i Archangielska. O innej ich działalności nie wiem, nie miałam z nimi styczności, aż do chwili rewizji i aresztowania. Ludzie bali się i czekali. Wszyscy twierdzili, że wojna długo nie potrwa. Wszyscy myśleli: "A, byle do wiosny. Do wiosny na pewno się to skończy." Trzeba czekać, przesiadzieć cicho, przeżyć, absolutnie się nie narażać. A wojna jeśli nie skończy się na wiosnę, to na jesień murowane.

Potem rozpoczęły się wywózki. Było to w lutym, akurat chwyciły straszliwe mrozy, podobno dzieci zamarzały w wagonach. Z Baranowicz zabrali mnóstwo ludzi, przeważnie rodziny wojskowych. Momentalnie informacja rozniosła się po całym mieście. Deportacja przeraziła nas, ale jednocześnie wydawało nam się, że na tym już koniec, że nas - pozostałych to już nie obejmie. Nasze nadzieje niestety okazały się złudne. Nie dano nam długo czekać.

Nie spodziewałam się aresztowania. Po pierwszej fali deportacji myślałam, że dadzą nam spokój. Tymczasem 13 kwietnia o piątej rano załomotali kolbami do drzwi. Najpierw powiedzieli, że muszą przeprowadzić rewizję: "My dołżny prowiesci rewizju". Potem dodali, że w ciągu 15 minut muszą się zebrać. Wyglądali wszyscy tak samo, nie dało się odróżnić żadnego komendanta, po mundurze czy manierach. Było ich 17, żadnych dokumentów nie okazywali. Zresztą kto by ich pytał o dokumenty. Powiedzieli, że muszą przeprowadzić rewizję i koniec. Proszę bardzo. Znaleźli dwie dubeltówki, nie - tylko dwa rowery, dubeltówki wywiozłam wcześniej do Kmicianki. Rzucili się do plądrowania, to co im się podobało, zabierali. Na przykład miałam sliczny parlofon, nie gramofon ale parlofon - do nauki języka. Nadzwyczajnie wyraźnie wymawiał słowa. Kazali mi się zbierać, ale to co pakowałam oni wyrzucali na ziemię. Zdołałam zabrać jedynie trochę bielizny, cieplejszych ubrań. Kiedy pakowałam garderobę męża, wyrzucali wszystko na ziemię i w kółko powtarzali: "Eto barachło, u nas etowo mnogo". Udało mi się zabrać jedynie zimowy płaszcz męża. Potem sprzedawałam go za zboże. Podczas rewizji musiałam stać i patrzeć. Kazali mnie, żebym otworzyła szafę, kredens, komodę. Skrupulatnie przeszukiwali wszystko. 17 żołnierzy wpakowało się do mojego mieszkania, obstawili każdy kąt, jak by to była twierdza. W pewnym momencie tak się zdenerwowałam, że musiałam pójść do ubikacji. Nawet tam odprowadził mnie i pilnował pod drzwiami żołnierz z nastawionym na sztorc bagnetem.

W sumie dano mi około trzech godzin czasu na przygotowanie się do drogi. Powiedziano mi, że będę przemieszczona. Dużo ze sobą zabrać nie mogłam, zapakowałam wszystko w duży, wiklinowy kosz. Wszystko co zostało poleciłam opiece mojej przyjaciółki, pani Kamienieckiej.

Do wyjścia na podwórze zapakowano mnie, wraz z 6-letnią córką, do ciężarówki i zawieziono na dworzec. Rosjanie dysponowali spisami wywozu. Ale jak kogoś nie zastali w domu to potem dawali spokój. Mój przypadek był na tyle osobliwy, że aresztowano mnie jako generałową. Nastąpiła najzwyklejsza pomyłka. Żona generała Grzmot-Skotnickiego również

nazywała się Halina. A Grzmot-Skotnicki był kuzynem mego męża.

Tak więc zamknęli nas w wagonach. Ibyło po krzyku. Owszem, można było uciec z wagonu. Zostawić wszystkie rzeczy i uciec. Kilku próbowało i to z pomyślnym skutkiem, ale nie były to liczne przypadki. Ale gdzież ja z małą córeczką mogłam uciekać, nie mogłam jej narażać. Nawet nie miałam gdzie. Siedzieliśmy w wagonach z półtorej doby. Dopiero po tym czasie pociąg ruszył. W wagonie było pełno ludzi. Chyba ze 30 osób nas tam wpakowali. Inteligentni ludzie, mniej inteligentni, prości ludzie, jakich chcesz. Oni wywozili nie tylko inteligencję, oni wywozili także ludzi ze wsi. Tacy jak Apanasewiczowie, Kuźmicka Zina - to wszystko byli zupełnie prości ludzie, pisać nie umieli, krzyżykami podpisywali się. Jechała z nami pani doktor Wajner z matką, siostrą i dwiema córkami, jedną zdaje się 9-miesięczną, drugą półtora roku. Jechali Korolewscy z trzema synami, ludziprości - rzemieślnicy. Jechał pan Borówko z żoną. Pan Borówko najlepiej orientował się dokąd nas wiozą. Miał ze sobą mapę i ciągle pokazywał nam gdzie aktualnie jesteśmy. Już po kilku dniach zorientowałam się, że jedziemy do Kazachstanu.

W pociągu był rozmaity element. Korolewska miała trzech synów. Ciągle powtarzała: "Ojej, jak ten Olek (jeden z synów) tęskni do Polski, jak on strasznie tęskni. On nic nie je". Aż okazuje się, że Olek wyciągnął całą puszkę szynki i po kawałku sobie zjadał. A puszka była schowana na czarną godzinę. Wybuchła awantura nie z tej ziemi, bo szynka została doszczętnie wyjedzona.

W dniu wyjazdu spadł niesamowity śnieg, jeszcze trwała zima. Ścisnął okropny mróz. Podczas naszej podróży mrozy dochodziły do trzydziestu stopni poniżej zera. Wagony były bardzo słabo opalane, na środku stał jedynie prymus, mizernie zaopatrzony w opał. Jak nas później dochodziły słuchy, ~~KXXXXXXSÓK~~ kilkoro dzieci pozamarzało podczas drogi, w wagonach.

Cały czas wieźli nas przy zamkniętych drzwiach i zabitych oknach. Dopiero kiedy dojechalismy do Uralu, to otworzyli nam drzwi i pozwolili wyjść rozprostować kości. Przed wyjazdem, w dniu aresztowania, zapowie-



dziano nam, żebyśmy wzięli w podróż jedzenia na dwa tygodnie. Żołnierze eskortujący pociąg donosili nam codziennie jedynie wiadra goracej wody, tak zwany "kapiatok", poza tym można było kupić chleba.

Najgorzej to było z higieną, wody starczało ledwie do picia. Tragedią było załatwianie się. Do tego celu służyło specjalne koryto, wyrowadzone na zewnątrz. trzeba było w to koryto robić. Jak była jakaś reszka wody, to się koryto spłukiwało, jak nie trzeba było ekskrementy spychać patykami. Mężczyźni i młodzi chłopcy, kobiety, dzieci, nie było mowy o żadnej intymności - okropne.

Nasz pociąg składał się z około 70 wagonów. Wewnątrz wagonów, przy ścianach znajdowały się dwie kondygnacje pryczy. Leżeliśmy obok siebie pokotem, człowiek przy człowieku. Był straszny tłok. My z córką dostałyśmy miejsce przy oknie. W wagonie było ciemno, żadnego światła, tylko nikiłe promyki docierały do nas przez szpary. Ludzie skuleni, znerwicowani, zmarznięci, pytali jeden drugiego co dalej. Łakali, modlili się, śpiewali. Wiele rodzin było porozdzielanych, zdekompletowanych. Panował jeden przegromny niepokój.

Raz była awantura, bo ktoś robił kupę akurat wtedy, gdy dyżurujący niósł akurat "kapiatok". Z tej szufli zsunęło się jak raz do wiadra. Wybuchła cała awantura, że to umyślna prowokacja. Do Uralu nie wypuszczali nas z wagonów, staliśmy tam jakieś 4-5 godzin. Było tam przecudnie, wspaniałe skały, bujna, wiosenna przyroda. Tunele pod torowiska były wykowane ręcznie w skale, nierzadko rękami polskich zesłańców. Na skałach odnajdywaliśmy powykuwane nazwiska - "tu zginął ten a ten". Tuż obok torów rozciągały się przepaście po trzysta metrów w dół a w dole porozbijane wagony. Napisy robiły na wszystkich ogromne wrażenie. Jedno z tych nazwisk pamiętam: "Zygmunt Siedlecki".

Za Uralem jechaliśmy już spokojnie, tak nie pędziliśmy, otworzono wagony. Do tego stopnia, że konwojenci mówili: "Tu będziemy stali codziennie, możecie sobie wyjść i coś sobie zgotować." Ludzie zaczęli gotować ziemniaki czy coś innego, pociąg nagle ruszał, ludzie łapali w pospie-

chu garnki, rzucali je do wagonów, krzyk, hałas. Był nawet taki wypadek, że ktoś nie zdążył wskoczyć do pociągu. Dopędził nas dopiero następnym, zależało mu na tym, bo zostawił w pociągu całą rodzinę.

Podróż trwała dwa tygodnie, przywieźli nas wreszcie do Mamlutki. To była niewielka miejscowość na końcu świata - dosłownie, dalej po prostu nie prowadziły tory. W Mamlutce czekaliśmy z tobołami dwa dni, spaliśmy pod gołym niebem, nikt nie zatroszczył się o nas. Było nas tam łącznie z dwoma tysiącami ludzi, leżeliśmy na szczerym polu, bez jedzenia, w fatalnych warunkach sanitarnych. Dwa tysiące ludzi zakaźniało swe potrzeby fizjologiczne w krzakach. Mamlutka to nie było miasto, po prostu kilka chałup. Ludzie jedli co mieli ale przeważnie były to już resztki, jakieś suchary.

Trzymaliśmy się z ludźmi z wagonu. Te dwa tygodnie jazdy w jakiś sposób nas złączyły. Chcieliśmy jechać do jednego kołchozu. Zaprzyjaźniłam się z panią Wajner, później poznaliśmy rodzinę Giedrojciców. Po dwóch dniach przyjechały po nas ciężarówki, porozwożono nas po bazach, ja trafiłam do bazy, która mieściła się przy głównej ulicy. Mieszkaliśmy w tych bazach parę tygodni. Potem powiedziano nam: "Szukajcie sobie mieszkania, tu będziecie żyli i pracowali i nie wolno wam pod żadnym pozorem się stąd oddalać". Wieś, do której nas przywieźli i w której przyszło nam przeżyć sześć lat, nazywała się Nikołajewka. Cała wieś składała się z trzech ulic, które nazywały się: Niżniaja, Sriednaja, Wierchnaja. Najniższa leżała przy ogromnym, pięknym jeziorze. Za jeziorem rozciągały się dziesiątki, setki kilometrów stepu. Step zlewał się z horyzontem. Wyglądał jak wielkie morze. Gdzieś tam tylko na tej rozległej przestrzeni widać było auł - kirgiską wieś. Nasza wieś była zdecydowanie rosyjska, mieszkało tam jedynie kilka rodzin kirgiskich, może także jakaś tatarska. W sumie cała wieś liczyła z trzy tysiące mieszkańców.

Początkowo mieszkaliśmy wszyscy w bazie. Byli tam państwo Korolewscy, Szukałowie, panie Bazylewska i Łukaska. - obie później dokoptowane. Była tam też rodzina Sakowiczów, bardzo inteligentna oraz Naumowiczowie, Zośka z matką i bratem.

Ludność nie miała do nas zaufania, nastraszone ich, że Polacy ich mogą potruć. Wmawiano im także, że mamy takie ubrania, które po założeniu wy palają całą skórę i powodują powstawanie wrzodów. W związku z tym na początku nic nie mogliśmy od Rosjan kupić czy dostać. Mieliśmy trochę rubli, które zarobiliśmy w Polsce, więc najpierw płaciliśmy tymi rublami. Potem, jak ludzie nabrali do nas większego zaufania, rozwinął się handel wymienny, powoli wyprzedawaliśmy się ze wszystkiego, co udało się z Polski zabrać. Poza tym rozsiewano plotki, że Polacy zatrują studnie. Rosjanie bardzo się tego bali.

Przyjezdnym Polakom nie przychodziło do głowy, że możemy spędzić w tym strasznym miejscu całe sześć lat. Wszyscy mówili: "No, potrzymają nas tutaj ze dwa, trzy tygodnie i wrócimy do domu". Dopiero później okazało się, jak nasze <sup>kał</sup> spekulacje były chybione. Nawte dziecko najmniejsze powtarzało, że Rosja to kolos na glinianych nogach. Niemiec to jest potęga. Wystarczy parę tygodni a dojdzie aż tutaj. Rosja absolutnie się podda. W związku z tym, z wielkim entuzjazmem oczekiwano na wybawienie Niemców.

Z początku nigdzie nas nie zatrudniano, było jedno wielkie obijanie się. Ten stan trwał prawie cały rok. W tym też czasie nasze dobra zaczęły błyskawicznie topnieć. Wszystko się sprzedawało, wydawało. Koszule, nie koszule, płaszcze, kurtki. Polacy przez cały ten czas prowadzili żywot wręcz beztroski, jeśli można w ogóle tak powiedzieć. Pełni nadziei, optymizmu, że za parę dni, tygodni wszystko się skończy. Mnie było ciężiej niż innym. Dlaczego: przeważnie zesłańcy stanowili kilkuosobowe rodziny. Ja byłam tylko z 6 - letnią córką i wszystkie problemy spoczywały na mojej głowie.

Kiedy usunięto nas z bazy, zaczęliśmy szukać mieszkania. Trzymałam się pani Giedrojciowej. Po długich poszukiwaniach dostaliśmy wreszcie izbę, dość dużą jak na tamte warunki. To był dom na Niżniej ulicy, składał się tylko z dwóch izb. Do pierwszej wchodziła się bezpośrednio, bez żadnego korytarza. Była to wielka izba z piecem chlebowym po stro-

nie lewej, po prawej stało rodzinne łożo. Pod oknem stała jedynie wielka ława. Z tej ogromnej izby wchodziło się do mniejszej, wynajętej przez nas.

Nasz gospodarz był Rosjaninem, nazywał się Radion Samojłow. Miał bardzo młodą żonę, gdzieś dwudziestoletnią, sam miał lat sześćdziesiąt. Jego najstarsza córka z pierwszego małżeństwa - Grunia, była starsza od jego aktualnej żony. Radion to była wspaniała postać. Leń nie z tej ziemi, nic nie robił tylko dzieci płodził, co rok to prorok. A to wszystko mieściło się w jednej izbie, dzieci było mnóstwo. I same chłopaki. Radion był "odinolicznikiem" - jednym z nielicznych w tej wsi, który nie wstąpił do kołchozu. Nie chciał oddać swojej ziemi a i tak wszystko mu zabrali.

Każdy kołchoźnik miał na własność ogród o powierzchni 3 tys. m. kw. Radion miał tylko prawo do połowy tego. I ten skrawek ziemi miał na wyżywienie siebie, żony i chyba piątki dzieci. Do tego ani krowy ani owcy, nic. Nie wolno mu było posiadać. Po podwórku chodziło jedynie parę kur.

Radion był swojego rodzaju wiejskim znachorem. Do niego zjeżdżali się chorzy z okolic, po różnego rodzaju leki i porady. I zawsze coś mu tam w zamian podrzucali. Nasz dom stał niedaleko jeziora, działka była zagrodzona drewnianymi palikami. U frontu stała wielka, skrzypiąca brama. Dzieci się ciągle na tej bramie huśtały. Codziennie wieczorem Radion wychodził na podwórze, zamykał bramę, opierał się osztachety i patrzył w niebo. Była to jego codzienna chwila zadumy. Potem przepowiadał pogodę, zawsze bardzo trafnie, nigdy się nie mylił. Po smugach chmur, po kolorycie nieba, wiedział jaka będzie pogoda. Był nadzwyczajny. Wychodził i mówił: "Ej, Galina nie jedź dzisiaj w step, bo w południe będzie burza". Jak na zamówienie o dwunastej zaczynało grzmieć. Albo jak jeździliśmy po drzewo w późniejszych czasach: "Spieszcie się, dziś jeszcze będzie ładnie, ale jutro po południu będzie huragan". I sprawdzało się. Radion przez cały dzień nic nie robił - spał. A w nocy robił dzieci. To było jego podstawowe zajęcie.

Zanim przyszła "właść sowieckaja" Radion śpiewał w cerkwi, był "zapiewajką". Porwodził chór i bardzo ładnie śpiewał. Znał wszystkie cerkiewne pieśni. Buntował się przeciwko władzy radzieckiej i absolutnie się z tym reżimem nie zgadzał.

Po 1928 roku w Nikołajewce nastąpiła kolektywizacja. Wobec tych, co się opierali, stosowano różnego rodzaju represje. "Odinalicznikom" kołchoźnicy zapierali drzwi kołkami, komin zatykali sianem, żeby nie mogli się palić. A wszystko po to, aby złamać opór niepokornych. Radion bardzo pozytywnie wspominał postać Lenina, natomiast szalenie źle wyrażał się o Stalinie. O Leninie nawet krążyła taka fama: jak Lenin zmarł a to było zimą, to w tym samym dniu na Syberii strzelił piorun. A jak na tę porę było to tutaj zjawisko niespotykane. Dla Sybiraków była to oznaka, że był to bardzo wartościowy człowiek, chciał rzeczywiście wiele dobrego zdziałać.

O Stalinie nie mówiło się zwykle nic, bo nie można było mówić. Za każde niewłaściwe słowo można było za karę pojechać do obozu pracy, do Karagandy. W Karagandzie była ponoć kopalnia alabastru, gdzie pracowało się po pas w wodzie. Stamtąd już się nie wracało. Mieliśmy taką znajomą - młodą kobietę, nazywała się Godyk. Jej wina polegała na tym, że popularną radziecką pieśń:

"Charasza strana nasza radnaja  
gdzie tak wolno dyszyt czełowiek"

Interpretowała na swój sposób:

"Charasza strana nasza radnaja  
gdzie tak wolno dochniet czełowiek"

czyli nie "oddycha wolno - z wolnością", tylko "zdycha wolno - powoli". Zabrali ją do kopalni alabastru i już stamtąd nie wróciła. Po prostu ktoś z Rosjan doniósł na nią na NKWD. Z początku był tak fatalny rygor, że nie można było nawet się przeżegnać. Kiedy siedzieliśmy z córką przez trzy dni w bazie, ja wyciągnęłam książeczkę do nabożeństwa i zaczęłyśmy się modlić. A Ustinowa, przewodnicząca - "predsiedaciel" kołchozu, podeszła, popukała mnie wczolo i powiedziała, że ja jestem

głupia - uczę dziecko modlitwy. I że jeśli jeszcze raz zobaczy mnie z książeczką w dłoni, to zabierze córkę do domu dziecka.

Radion był człowiekiem specyficznym. Prawie nic nie mówił. Zawsze pogodny, zawsze wesoły. Ale jak coś już powiedział, to zawsze trafiał w dziesiątkę. Znał się na ludziach. Jak się wyprowadziłyśmy od niego, to w pokoju, który nam wynajmował, odbywały się tajne nabożeństwa. Radion był typem rosyjskim - rubach<sup>a</sup> wpuszczoną w portki, haftowana szlaczkiem, przepasana sznurkiem. Chłopi nie używali tam raczej europejskich ubrań. Z zazdrością patrzyli na nasze, i tak już zniszczone stroje. Rosjanki w naszych koszulach nocnych chodziły na potańcówki.

Władza sowiecka nastąpiła w Nikołajewce dopiero po 1928 roku. Najpierw były wielkie, piękne i bogate wsie. Pszenica leżała przed domami wielkimi kupami. Był to kraj miodem i mlekiem płynący. To kraj, gdzie poruszyłeś ledwie tyczką w ziemi i posiałeś, a pszenica wyrastała twego wzrostu. Ta ziemia nie znała nawozów, ani sztucznych, ani naturalnych. Nie były one po prostu potrzebne. Potem poodbierano własność szeregu ludziom i zorganizowano kołchoz. Od tego momentu wieś bardzo zubożała, ludność nie chciała pracować nie na swoim i wydajność szybko spadła. Nikołajewka miała 24 tys. hektarów ziemi uprawnej, pod zasiew szło zaledwie sześć. Reszta leżała odłogiem, ale nikt nie miał prawa tego tknąć. Stepy były porośnięte najcudowniejszą trawą jaką mogłeś sobie w ogóle wyobrazić. Ale tylko część zbierano do kołchozu. Reszta zotsawała na polu i gniła. Nie wolno było nikomu zebrać.

Do Radiona wpakowały się trzy polskie rodziny. Pani Giedrojciowa, pani Naumowiczowa i my. Razem w izbie tłoczyło się nas osiem osób. Płaciło się za pokój koszulą, spodniami, czym się miało. Wtedy jeszcze nie pracowałyśmy. Przez cały rok bezrobocia doszczętnie wszystko wyprzedaliśmy. Poza tym haftowałyśmy "kosynki" - hustki na głowę. Za to dostawaliśmy mleko i jajka. Kładłyśmy także karty - wróżyłyśmy.

Jeszcze raz o Radionie. On wyleczył swego ukochanego synka, który przez wszystkich był już skazany na śmierć. Już nie było ratunku dla niego. Kola co zjadał to wszystko z krwią wydałał. - krwawa dezynteria.

Kuracja, którą zastosował Radion była tak szokująca dla wszystkich, że się za głowy połapali. Radion podał synowi kompot z dzikich wisien. Kwas był tak ostry, że scisnął ściany żołądka i w ten sposób uratował dzieciaka. Nie było tam żadnych kaszek mianych, płatków owsianych. Tylko ziemniaki i mąka pszenna.

Tak więc żyliśmy z dnia na dzień. I tak przeszedł cały rok, pełen optymizmu, nadziei na przyszłość. Jednak z dnia na dzień ten optymizm malał.

W naszej społeczności byli także Żydzi. Był taki Żyd Mikaj - z całą rodziną. W całej wsi było około 14 polskich rodzin. Jak nas tutaj przywieźli był maj. We wrześniu nastąpiły przymrozki. W październiku spadł śnieg.

Lato dano nam przesiedzieć w domach. Na jesieni pognali nas do pracy w elewatorze zbożowym. Przyszedł brygadzysta i powiedział, że brak jest ludzi do suszenia zboża i że wszystkie polki mają iść do pracy. Silos był bardzo ładny. Po schodach musiało się nosić zboże na karku, gdzieś na wysokość piątego piętra. Trzydzieści albo i czterdzieści kilo zboża ci nasypali, dali na plecy i musiało się nieść. I stąd te żyłaczki piękne na nogach. Zimą się szuflowało zboże i przy okazji kradło. Praca była przymusowa, niby nam pracowali ale płacili tyle, że nic nie można było za to kupić. We wsi był jeden sklep i apteka. W sklepie zawsze były pustki, nawet chleba nie można było normalnie kupić. Trochę narzędzi rolniczych - łopaty, grabie. Przez cztery lata nie znałyśmy smaku cukru. Kołchoźnicy cukier dostawali, ale my nie.

Traktorów w kołchozie nie było. Były za to konie, całe stada i całe stada wołów. Tam się prawie wszystko wołami oparowało. A kołchoźnik jak miał krowę to i krowę zaprzęgał i szedł z nią w step po siano.

Siedziało się w kołchozie i liczyło dni. Ludzie mówili: "O już za rok Będziemy w Polsce." Jak przeszły dwa, trzy lata to wszyscy po kolei zaczęli tracić nadzieję, czy w ogóle wrócimy. Kto tam się podał za Białorusina, Litwina, Łotysza to już został, nie wrócił. Kto deklarował takie obywatelstwo był już traktowany inaczej - za swego. A my byliśmy zawsze

obcy.

Praca była rozmaita. Kiedy się nie traciło humoru i nadziei na lepsze jutro, to każda praca mogła być przyjemna. Jak przyjechałam na Sybir, to nie byłam przyzwyczajona do pracy fizycznej. Owszem, znałam ją, lecz nie miała ona charakteru stałego. Kołchoźnicy bywali różni. To oni nadzorowali pracę Polek. Niektórzy to potrafili nawet nogą kopnąć. Ja byłam brygadzystką zespołu Polek.

Później zwolnili Ustinową ze stanowiska przewodniczącego kołchozu i na jej miejsce przyszedł kto inny, nie pamiętam nazwiska. Wszystkich nas zapakował na wóz i wywiózł step do wycinki drzewa. Jak nas wywiózł pierwszy raz to przecież nie wiedziałyśmy co ze sobą począć. Sześć czy siedem kobiet pozostawionych samych w lesie. I rób co chcesz. Pierwsze co robiłyśmy to brałyśmy siekiery w ręce i budowałyśmy szałas. Potem już nabrałyśmy wprawy i wszystko szło nam w mig. Ale pierwszy raz to byłyśmy nieszczęśliwe. Same w stepie, noc ciemna jak niewiadomo co, gdzieś z daleka huczy. Tam, że burze są szalone. Musiałyśmy podczas burzy jak najdalej odrzucać od siebie siekiery i inne przedmioty metalowe, bo waliło straszliwie.

Całe lato spędzałyśmy w tajdze. Rąbałyśmy drzewo dla "sielsowietu". Zimą, wołami zwoziłyśmy je do wsi. Z Nikołajewki do pierwszych drzew było 25 kilometrów. Potem wozili nas dalej, po 100 kilometrów. Tam rosły tylko brzozy. Trzeba było je najpierw ścinać, potem rozpiłowywać. Czynności te wymagały pewnej wprawy. Trzeba było wiedzieć, jak drzewo upadnie, bo może zawisnąć na drugim i wtedy niewiadomo co robić. Oczywiście nikt tego nie umiał, bo i skąd. Ja mieszkałam na wsi, więc byłam nieco z tego typu robotami obeznana. Potem doszłam już do takiej wprawy, że potrafiłam dokładnie określać, w które miejsce drzewo upadnie z dokładnością do pół metra. Wiedziałam, z której strony trzeba piłować, a z której rąbać. Pracowałyśmy parami, więc każdy chciał być ze mną. Płacili nam od metra sześciennego 5 rubli i kilo pszenicy. Potem doszło do tego, że ja więcej chodziłam i pokazywałam niż sama pracowałam. No ale wtedy



pracowałyśmy już kolektywnie. Najciężej to było z miejscem do spania i z żywnością. Musiałyśmy zabierać jedzenie ze sobą. Zazwyczaj piekło się podplomyki. Praca nie dość, że była ciężka fizycznie, to do tego potwornie uciążliwa ze względu na roje komarów. To była istna plaga. Moliłony ich unosiły się non stop nad naszymi głowami. Jak oddychałeś to do ust wlatywały.

Raz na tydzień wolno nam było wrócić do wsi i nieco odpocząć w domu. Szło się wtedy do łaźni, bo miało się mnóstwo kleszczy powpijanych w ciało, trzeba było te kleszcze wyparzyć.

Potem wywieźli nas na wyrąb 100 km. od wsi. Nie było nas w domu miesiącami. Raz uciekłyśmy stamtąd. Dlaczego? Obok był wyznaczony teren dla Cyganów, tak samo wywiezionych jak my; tak jak my - wyznaczonych do piłowania drzewa. Sami młodzi chłopcy. Bałyśmy się, żeby nas tam nie pogwałcili. Stanowiłyśmy przecież tamtejszy kwiat młodzieży, dziewczyny miały po 17 - 19 lat, Ja byłam w tym gronie najstarsza. Więc uradziłyśmy baba w babę, spakowałyśmy się i ruszyłyśmy w drogę. Wyrąbałyśmy żerdzie, pokładaliśmy na nie nasze rzeczy i poszłyśmy piechotą do domu - 100 kilometrów. Szłyśmy trzy dni.

Zimą padały potworne śniegi, mrozy dochodziły do 40 stopni. W tym to ~~xx~~ czasie musieliśmy jeździć do tajgi i zwozić drzewo. Wyjeżdżałyśmy zwykle o drugiej w nocy, przeważnie wtedy, kiedy były księżycowe noce. Każda z nas prowadziła po dwa woły. Jeden wół przywiązany był do sań, na drugim jechałeś. Nie można było siedzieć cały czas na wole, bo można było skostnieć zupełnie. Nadzwyczajnych ubrań to tam nie było. Kołchoźnicy mieli wspaniałe kożuchy, pimy - buty z wełny, usztywniane. Kto miał kalosze to było już coś cudownego, niewiadomo co. Bo pimy wsadzało się w kalosze i wtedy one tak nie przemakały. Ale kalosze miał mało kto.

Jechałyśmy zwykle w osiem sań. Przyjeżdżało się na miejsce, ładowało drzewo - to zajmowało jakieś trzy godziny. I powrót. Tak więc wracało się do wsi pod wieczór. I potem miałyśmy dzień, dwa wolnego. Często bale drzewa trzeba było wyciągnąć spod ~~drzewax~~ śniegu.

Kiedyś wracałyśmy po zmroku, był środek zimy. Woły człapały noga

za nogą. I nagle, ni stąd, ni zowąd, otoczyło nas stado wilków. Zbiegły nam drogę od przodu, żeby nie można było jechać. Ale nie podchodziły blisko. Trzymały się od nas na trzydzieści kroków. Co się stało: w jednym momencie woły spuściły nisko łby, do samej ziemi. Tak, że pysk się po ziemi ciągnął. A to dlatego, że wilki zwykle skaczą do gardeł. Szły tak woły ze spuszczoneymi łbami, a my co zrobiliśmy: zdarliśmy momentalnie korę z brzozy, nabiłyśmy ją na kije i zapaliłyśmy. I przy saniach z tymi pochodniami szłyśmy, wilki nas nie atakowały. Ale odprowadziły nas do samej wsi.

Znowu kiedy indziej przyjechałyśmy do tajgi, kiedy zaczął śnieg prószyc. Po chwili zrobił się kompletny huragan śnieżny. Myślałyśmy, że z nami już koniec. Na szczęście zwierzęta mają wspaniałe instynkt. W takiej sytuacji trzymało się tylko jarzma wołów i krok za krokiem szło się przy nim. Wół doskonale orientował się, gdzie ma iść. Po jakiś wertepach, Bóg wie święty po jakich jamach, ale myśmy nigdy w takich sytuacjach nimi nie kierowały. Wiedziałyśmy, że zwierzę dojdzie do wsi na pewno.

Jak wracałeś do wsi, byłeś już tak wykończony, że nie miałeś siły dojść nawet do swojej chaty. A tu trzeba było woły odstawić do obory, drzewo zrzucić z sań. Było bardzo ciężko, szczególnie dla kobiety. Kałorga a nie robota.

Buntować się nic by nie pomogło, czasem ktoś był chory i nie szedł do pracy. Ale jak brygadzysta przyjechał na koniu pod chałupę i zastukał biczem w okno, albo wołał po imieniu czy nazwisku to musiałeś wyjść. Przeznaczał cię do roboty i musiałeś iść. Oni nie uważali tam specjalnie choroby za przeszkodę, chyba nie mogłeś zwlec się z łóżka i miałeś wysoką temperaturę.

Jak nie jechałyśmy w tajgi, to zabierali nas w step. Jeździliśmy zbierać siano na grabielniach - drabiniastych wozach zaprzężonych w woły. Zgrabialiśmy siano w kopy. Było bardzo ciężko, między innymi dlatego, że wołem nie możesz kierować. To nie lejce, nie cugle żeby pociągnąć w lewo czy w prawo. To się waliło woła kijem w bok i krzyczało. Jak krzyknąłeś "cob" to było w prawo, "cebe" w lewo. A jak nie chciał skręcać to kłąłeś

Z ostatnich słów, tak jak tylko można po rosyjsku kłać. I chyba nie ma żaden język klątwy tak lekkiej i ohydnej jak rosyjski. A nieraz na takiego wołu napadły gzy. Leciał on wtedy jak szalony z tą grabielnią w krzaki. W bijał się w chaszczę, żeby gałęziami spędzić z siebie muchy. Woźnica mógł przy takiej okazji oczy stracić lub się połamać. Tam nie było się nawet czego trzymać. Jak na takiej grabielni pojeździło się dwie, trzy godziny, to miałeś kompletnie chorą pupę. Bo siedzięło się na rodzaju metalowego krzesła. Nieraz nawet poprzecierane były spodnie na skutek takiej jazdy. A brygadzysta siedział sobie pod drzewem i patrzył na ciebie, co robisz. Czasem wskakiwał na konia i robił mały objazd, sprawdzał jak pracujemy. Konie były tylko dla brygadzystów, dla nas zawsze tylko woły.

Miałam kilka posad. Ponieważ byłam jedna jedyna, która znała się na rachunkowości, to potem pracowałam w "arcieli", spółdzielni jako główny księgowy. W spółdzielni pracowała grupa fachowców rzemieślników, był tam kowal, krawcowa i inne, mniej znaczące. Na przykład przychodziła kołchoźnica, żeby jej zrobić spódnice. W związku z tym trzeba było zrobić całą kalkulację: ile materiału potrzeba, ile nici zużyto, ile godzin pracy poświęcono. Robiło się taką kalkulację i dokonywało wyceny.

Potem do spółdzielni dołączono szkołę agrotechniczną. Trzeba było prowadzić całe księgi rachunkowe. Było w tej szkole trzech czy czterech nauczycieli, ze 40 uczniów. I dyrektor oczywiście. Chłopcy mieszkali w bazie, warunki mieli bardzo nieciekawe. Potem porozchodzili się po szkołach prywatnych. Ale stołowali się na miejscu. Była zatrudniona kucharka, która gotowała obiady, śniadania, kolacje. Do moich zadań należało między innymi, staranie się o żywność. Po żywność trzeba było zwykle jeździć do Pietropawłowska. Co kwartał robiłam sprawozdanie. Do Pietropawłowska jechało się 120km. Oczywiście na wołach. W obie strony jechało się tydzień. Wół przecież nie robi dużo, on tylko wlecze się noga za nogą. W Pietropawłowsku dawali aprowizację: mięso solone, wędzone, ziemniaki. Przywoziło się to wszystko do Nikołajewki i przerabiało.

Wtedy już miałam trochę lżej, siedziałam na miejscu, otrzymywałam regularne przydziały żywności: owies, ziemniaki i 400 rubli. Szkoła na własność miała 5 krów, zawsze ten litr mleka dostawałam, czasem odrobinę słoniny. Pamiętam, że były ogromne kłopoty z papierem, nie było na czym prowadzić ksiąg, pisało się na skrawkach gazet.

Jak jechałam do takiego Pietropawłowska to ciebie nikt nie nakarmił. Oczywiście po drodze nie było żadnych gospód czy zajazdów, można było jedynie kupić litr mleka od chłopca. Najczęściej woziłam ze sobą zamrożone "pielmienie" - swojego rodzaju pierożki z ziemniakami. Wystarczyło te gotwe pierożki wystawić za okno. Potem zbierało się je do torebki, grzechotały jak orzeszki. Gdy czekała cię jakaś dłuższa droga, zabierałaś woreczek ze sobą. Nocowało się w chłopskich chatkach. Tam dostawało się jedynie jakiś ciepły kątek. Oczywiście za opłatą. Wszystko trzeba było mieć swoje, łyżkę, garnek, nóż. Nikt tobie niczego nie pożyczył. Pielmienie gotowało się na wodzie i potem się z tą gorącą wodą jadło.. A jak mocno przemarzłaś w drodze, to parzyłaś sobie gardło, usta, język, tak chciałaś się rozgrzać. I tak mnie już pozostało, biorę do ~~ust~~<sup>ust</sup> tylko gorące dania, nigdy letnie.

Chyba ze cztery razy zmieniałam miejsce zamieszkania. U Samojłowa mieszkałam dwa lata, potem przeniosłam się do Karczaginy. To była samotna wdowa z dwiema córkami i synem. Syna jako 17-letniego chłopaka zabrali na front i biedaczysko zginął w pierwszej potyczce. Córki pokończyły dziesięciolatkę i wyjechały na studia do Omska. Były bardzo ambitne, jedna zdała na medycynę, druga - nie pamiętam. Potem zamieszkałyśmy u Kirgizki, wdowy. Zamieszkałyśmy tam z panią Rudzką i jej synkiem Edziem. Pani Rudzka była żoną lekarza. Ona była córką Litwinowa. Litwinow był kimś ważnym w rządzie rosyjskim. Krótko z nią mieszkałyśmy ponieważ po jakimś czasie Litwinow posłał po nią i zabrał gdzieś w okolice Samarkandy, w cieplejsze strony.

Z tą Kirgizką kojarzy mi się jeden nieprzyjemny moment. Miałam po mężu śliczny męski płaszcz. Jak raz mąż uszył go w 1939 roku, tuż przed wojną.

Kiedy przyszedł głód, trzeba było płaszcz sprzedać za pszenicę. Poszłam do jednego z kołchoźników. Chciał kupić. Ale jednocześnie płaszcz strasznie zapragnęła Kirgizka, dla męża, kiedy ten wróci z wojny.. Ja wiedziałam, że ona nie do mi tyle pszenicy co kołchoźnik. A ja musiałam wykarmić córkę i siebie. Kiedy poszłam do pracy, ta stara weszła do naszej izby i od góry do dołu rozcięła płaszcz. Na szczęście mieliśmy wspaniałą krawcową w "arcieli", która zacerowała płaszcz tak, że nie było nic widać.

Na koniec zamieszkałam u Małowych. Iwan Małow i jego żona byli kołchoźnikami. Dostałyśmy oddzielny pokój razem z panią Łukasko, samotną kobietą, również deportowaną z Polski. Dzięki temu, kiedy szłam do pracy, moja córka miała opiekę. Izba była zwykła: bielone ściany, ruski piec przede wszystkim, gdzie wleźć można było i spać. Mieliśmy tzw. "chałantę", coś w rodzaju płytki do gotowania. W tej izbuszce nam się z córką całkiem nieźle powodziło.

Ja miałam na tyle nieciekawą sytuację, że byłam sama z córeczką. Kiedy wracaliśmy wszyscy z pracy, każdy miał przygotowany jakiś tam obiad, ja nie miałam. Najczęściej w takiej sytuacji robiło się "Łapszu" czyli makaron z mąki pszennej albo zacierkę. Jak było więcej kartofli to się robiło placki ziemniaczane. Ale nie było na czym smażyć. Patelnię smarowało się skórką od słoniny. Do tego mieliśmy <sup>mleko</sup> odciągane. Moja córka na początku miała ogromne problemy z aklimatyzacją, bardzo ciężko chorowała. Była przez wszystkich skazana na zagładę. Wszyscy nazywali ją "pajaczek". Mając osiem lat ważyła 15 kg. Potem zdołała się zahartować. Odciągane mleko, które dostawałyśmy było wręcz zielone. To mleko wylewano dla świń, nam od czasu do czasu dawali po wiadrze. Piekłam córce podpłomyki z grubo mielonej mąki z otrębami. Moja córka, jedząc te podpłomyki wołała: "Mamo, jakie to wspaniałe, smakuje jak ryby". Jak ryby - bo bez przerwy pluła ośmi od zboża. Kiedyś dostałam kawałek świeżego boczku z uboju i upiekłam. To był <sup>2027</sup> naszych marzeń kulinarnych - nie do opisania.

Potem, jak byłam księgową w spółdzielni, dostawałam "pajok" co miesiąc, w postaci kawałka słoniny, siedmiu kilogramów owsa, czterech pszenicy. Dostawałam także 400 rubli. Można było za to kupić kilo mięsa albo kilo masła. Wielkim wówczas rarytasem było świeże mleko, prosto z udoju a w nim rozmoczony twaróg. Dzisiaj tego bym nie zjadła. Jak wybuchła wojna, z początku nic się nie zmieniło, dalej pędzili nas do pracy, za którą prawie nic nie dostawaliśmy. Dopiero w 43 przyjechało NKWD do sielsowietu i zmuszało nas do przyjęcia rosyjskiego obywatelstwa.

Jeszcze jedna pyszna rzecz jak mieliśmy mąkę to piekłyśmy tzw. "2pyszki" - placuszki. Czasem te pyszki nadziewało się marchwią gotowaną. Marchew najpierw kroiliśmy w kosteczki i suszyłyśmy. Marchew suszona jest bardzo słodka. To był nasz przysmak. Potężny głód przyszedł mniej więcej pośrodku, w czasie wojny. Zanim wojna wybuchła, można było się jakoś wyżywić, kupić to i tamto. Potem to się nagle skończyło. Naszym podstawowym daniem stało się mleko z jagodami. Jakdło się te kulki. Na początku trączyłyśmy się bardzo, organizm nie był przyzwyczajony. Wymiotowałyśmy, miałyśmy szalone rozwolnienie. Potem organizm przywykł i normalnie przyjmowałyśmy ten pokarm. Robiło się również wtedy chleby z obierek kartofli. Niestety, nikt nam nie pomagał. Paczek z Polski przychodziła też niewiele.

W roku 43 lub 44 głód już był okropny. Skończyła się pszenica i nie było kompletnie co jeść. A że to była wiosna, wybrałyśmy się w pole, żeby pozbierać pozostawione kłosa. Poszyłyśmy sobie specjalne woreczki i zawiesiłyśmy je sobie na szyję. Do pola było jakieś 10 km. Sześć godzin, zbierałyśmy te kłosa, aż do napełnienia woreczków. A było tego najwyżej ze trzy kilo. Kiedy wracałyśmy do wsi, spotkał nas brygadzysta.

- co wy tam niesiecie.

-Kłosa niesiemy.

- A kto wam pozwolił?

- Nikt nam nie pozwolił, zbierałyśmy, bo głodne jesteśmy.

Zabrałam te worki, wysypałam kłosa na ziemię, nogami zdeptałam i poszedłam. Tak się niektórzy zachwywali. Jak pracowałyśmy w tajdze, przyjeżdżał do nas brygadziśta. My leżałyśmy i odpoczywałyśmy a on potrafił podejść i nogą trącić, żebyśmy się nie leniły, tylko szły do roboty. Specjalnie nie doznawałam tego typu upokorzeń. Ten wypadek ze zbożem był dla mnie szczególnie bolesny.

Znałam także innych Rosjan. Jednym z nich był Razganiajew - - zarządzający elewatozem zbóż. Bardzo ładny typ, piękny typ. Wysoki, kościsty, szczupły. Ładna, rasowa twarz. I o nadzwyczajnym sercu. Nigdy na nas nie krzyczał, nigdy nie popędził do roboty, nigdy nam złego słowa nie powiedział. Razganiajew przychodził do mnie i prosił, żebym opowiadała mu o Polsce. Pytał nas, jak żyliśmy, czy u nas też były tylko same kołchozy, czy można było mieć własną ziemię, rządzić tak jak się chciało. Rozpytywał nas o wszystko, a nasze opowieści były dla niego wręcz szokujące, nie chciał wierzyć, że można żyć w takiej swobodzie. Szczególnie lubił ze mną mówić, bo ja pochodziłam ze wsi, tzn. z majątku. Jak ja mu mówiłam, że moi rodzice mieli 50 krów, że tyle a tyle dojnych, że z dwadzieścia sztuk młodzieży, że 50 świń, to jemu się w głowie nie chciało pomieścić. Czasem siedzieliśmy nie pracując i ja jemu godzinami opowiadałam. Pytał gdzie mój mąż pracował, ile zarabiał i czy można było się z tego utrzymać, czy nie brakło na jedzenie.

Razganiajew miał około 35 lat i nie pamiętał już czasów carskich. Nie wzięli go do wojska, ba był ciężko chory na serce. Potem umarł na raka. Kiedy umierał, poszłam do niego pożegnać się i powiedzieć, że kradłam cały czas zboże z silosu. Co on na to mi odpowiedział: "Ja wiem Galina, że ty kradłaś zboże, ja wiem. Ale ty tego nie robiłaś dla rozpusty ale żeby wyżywić dziecko. Tą pszenicą droga do nieba będziemy wysypana". A ja przez rok sypałam zboże do stanika albo do majtek i w ten sposób wynosiłam. A on siedział za nami, bo zboże sypało się nam przez dziury. Wiedział kto kradnie, ale na nikogo nie doniósł. Nigdy.

Kiedyś już było tak źle, że nie wiadomo było co robić. Ja jeszcze

miałam złoty zegarek. Wyszłam na drogę i żołnierzowi, który przejeżdżał ze zbożem, pokazałam z daleka zegarek. To była pszenica na zasiew. I on mnie powiedział, że da mi za ten zegarek 100 kg pszenicy. To dla nas z córką byłoby na rok spokoju. I w nocy żołnierz przyniósł nam tę pszenicę, ja dałam mu zegarek i pojechał. Ale ktoś musiał to widzieć i donieść do kołchozu. Ja wtedy już pracowałam w spółdzielni. Wracam do domu z pracy a Inka do mnie ze łzami: "Mamo, zabrali nam pszenicę." Całe szczęście, że odsypałam uprzednio 30 kg z worka, to udało mi się uratować.

Podali mnie do prokuratora do Presnowki. Po jakimś czasie dostałam wezwanie. A to wiosna była, roztopy, więc nie miałam jak dojechać. Poszłam do kołchozu prosić, żeby mnie dali jakąś możliwość dojazdu. I dali mi potwornie chudą chabętę. Grzbiet miała ostry jak piła. Rzuciła worek na jej grzbiet, siadłam i krok za krokiem poczłapałam się do Presnowki. A do miasta było 80 km. Przyjechałam na miejsce i stanęłam przed prokuratorem. To był typowy Rusek, ale twarz miał przyjemną. Siedział w kufai i watowanych spodniach, pimy na nogach. Nie odróżniłbyś, czy to robotnik, czy inteligent. Pyta się o moje nazwisko, imię a ja odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Ukradliście tę pszenicę?

- Nie, nie ukradłam.

- A jak to się stało, kupiliście?

- Kupiłam.

- A czym płaciliście?

- Handel zamienny.

- A co daliście?

- Zegarek.

- No i co, wiecie, że to jest pasiewnaja pszenica i tego robić nie można?

- Wiem, ale przecież ten, który sprzedawał też wiedział, a sprzedał.

- A dlaczego to zrobiliście?

- Bardzo proste dlatego. Dlatego, że nie mamy co jeść.



- Mam dziecko, które muszę utrzymać przy życiu, czemkolwiek karmić je, bo inaczej pomrzemy z głodu.

- No i co, tylko to jedno dziecko macie, a gdzie jest wasz mąż?

- W armii.

Setki mnie pytań najrozmaitszych zadawał. Jak ja sobie radzę, jakie ja mam wykształcenie, co ja robie, gdzie ja pracowałam w Polsce. Patrzył na mnie okiem przychylnym, nie jakimś zwierzęcym. I wreszcie, po godzinie przesłuchań pisze kartkę. I mówi: "Dam wam pismo, list do sielsowietu. Wy musicie to zawieść i oddać predsiedacielowi. Macie jechać z powrotem do kołchozu."

Dał mnie ten list zapieczętowany a ja wzięłam go do ręki i zaczęłam go przy nim otwierać.

- Co robicie?

- Muszę przeczytać, jaki wyrok na siebie wiozę.

- Taki wyrok, na jaki sobie zasłużyliście. Nie macie prawa tego czytać.

A ja dalej rozpieczętowuje, odklejam. I czytam. I zaczynam płakać, łzy lecą mi kropla po kropli, jak deszcz.

"Wiernuć pszenicę Skotnickoj" - "Zwrócić pszenicę Skotnickiej"

- Zadowolona jesteś?

- Tak, dziękuję bardzo.

- No widzisz, są i u nas ludzie dobrzy, nie?

- Są - mówię - już nie z wami pierwszym się spotkałam.

I z powrotem na tej chabecie pojechałam do tej Nikołajewki. Kiedy przyjechałam, to nie mogłam zejść, tak miałam siedzenie otwarte. Jedna wielka rana. Poszłam do sielsowietu i oddałam im tenże list. Po dziś dzień nie oddali mnie tej pszenicy. Nic nie pomagało. Co chodziłam, co prosiłam - nie ma, nie ma, nie ma. Mało tego, że pszenicy nie oddali. Jak pracowałam w tajgach to płacili nam za każdy metr drzewa kilogram pszenicy. Miałam zarobione ze 40 kilo. I tego nie zobaczyłam na oczy. Nic nie mogłeś zrobić. Jak przychodziłeś prosić to oni mówili:

"Front ważniejszy, wy nie padochniecie. A jak pozdychacie to nie będzie kogo żałować."

Jak wyglądały nasze stosunki z władzą sowiecką. Jak przywieźli nas do Nikołajewki to zrazu zawołali nas do Sielsowietu". To był osobny budynek pośrodku wsi. Ć nie mogliśmy jednej rzeczy przeboleć. Całe podłogi w budynku były wybite ikonami zdartymi z cerkwi. Myśmy nie mogli tam wejść, przy każdym kroku deptało się po twarzach świętych. Na podłodze leżały portrety Chrystusa, świętego mikołaja i innych. Oni dziwili się, że nie chcemy tam wejść. Potem weszliśmy brzegami, przeciskając się przy ścianach, chcieli spisać nasze nazwiska. Straszna profanacja.

NKWD przyjeżdżało zwykle do wsi autem osobowym. Tam samochód był ewenementem. Tak więc jak myśmy słyszały głos samochodu, to dostawaliśmy takich skurczów żołądka, że nie wiedzieliśmy co robić. Leciałyśmy szybko w krzaki, żeby opróżnić żołądek, tak nas gnało ze strachu. Jak przyjeżdżało NKWD do wsi, to było pewne, że kogoś zabiorą na przesłuchanie. Nie można było bawić się w politykę, Rosjanie bardzo donosili. Robili to po to, żeby zaskarbić sobie łaski u władzy, zostać dobrym obywatelem. Przypadek naszej Polki wystarczył, żeby zamknąć nam usta do końca. Tam nie było domu, w którym by ktoś na kogoś nie doniósł, ktoś nie siedział w więzieniu. Dosłownie sąsiad na sąsiada donosił, syn na ojca. Tak więc każde informacje, jakie otrzymywaliśmy z Polbki, omawialiśmy między sobą. Inna sprawa, że każdy list był starannie cenzurowany. Nie można było napisać nic niewłaściwego, bo w takim przypadku listy w ogóle nie dochodziły. Mogłeś pisać tylko, jak żyjesz, czy jesteś zdrowa, że pracujesz, że myślisz o najbliższych. Podobnie traktowano paczki, były dokumentnie przetrząsane, sporo z nich nie dochodziło adresatów lub dochodziło w strzępach.

Korespondowałam tylko z rodzicami, także z panią Kamieniecką, której zostawiłam pod opieką mieszkanie. Z moimi braćmi i mężem nie miałam żadnego kontaktu. Bohdam, moją najstarszą siostrę, podobno zginął w Katyniu. Podobno, bo nikt nic nie wie. Zabrali go razem z panem Loransem, szefem

leśnictwa. Jak raz był w puszczy białowieskiej, gdzie pracował mój brat. Podobnie nie zobaczyłam więcej mojego męża, Witolda Skotnickiego. Dowiedziałam się dopiero w 1989 roku, że zginął w Starobielsku. Znalazłam jego nazwisko na liście.

NKWDściści byli straszni. Brali ciebie na spytki. Wypytywali do znużenia: "Kto ty jesteś, gdzie twój ojciec, gdzie twój mąż." Co miesiąc, dwa przyjeżdżali do Presnowki. Byli to przeważnie młodzi ludzie, ubrani po cywilnemu. Nigdy nie wchodzili do ~~XXXXXXXXXXXX~~ chałupy, wołali jedynie do sielsowietu. Byłam wielokrotnie na takim przesłuchaniu. Pytali z jakiej rodziny pochodzę. Początkowo dokuczali mi strasznie tą "Generalszą", uważali mnie za żonę generała. Potem się nieco w tej kwestii uspokoili. W pokoju, którym toczyły się przesłuchania stał zwykła stół zбитy z desek, żadnych biurek tam nie znano. I na dodatek podłoga wybita ikonami - zamiast dywanów. Kazali usiąść albo stać przez cały czas, jak im się podobało. Cały czas przesłuchiwali, co ja tam przeskrobałam, za co mnie wywieźli. Dziesiątki razy musiałam opowiadać te same historie. Takie przesłuchanie trwało zwykle z pół godziny, do 40 minut. Cały czas wypytywali mnie o życie, z najdrobniejszymi szczegółami. Czy były służące w domu, czy byli parobcy. Szukali zaczepki, żeby ci udowodnić, że jesteś burżujem. Ja starałam się ograniczać zeznania do podstawowych informacji, nigdy nie wspominałam o parobkach w majątku ojca, twierdziłam, że rodzice wszystko obrabiali sami, jedynie przy pomocy dzieci. Co do mnie, twierdziłam, że byłam pracownikiem magistratu, że tym samym należałam do inteligencji i pracującej. Oni cały czas wszystko skrupulatnie zapisywali.

Potem zmuszali przyjąć poddaństwo sowieckie. Tak to nazywałyśmy. Chodziło o przymusowe obywatelstwo rosyjskie. Myśmy nie chciały tego przyjąć. Wezwali nas do sielsowietu i powiedzieli, że od tego momentu jesteśmy grażdanie sowieccy - obywatele Związku Radzieckiego. Nie chcieliśmy niczego podpisywać. Ale jak zobaczyliśmy, że opornych wywożą nie wiadomo w jakim kierunku, podpisałyśmy.

Naród rosyjski jest bardzo miły i kochany. Oni też byli na swój sposób nieszczęśliwi. Kiedyś mieli własną gospodarke, potem im stopniowo wszystko pozabierali. Nie można było mieć więcej niż cztery głowy bydła w gospodarstwie. Ograniczenia te dotyczyły nawet kołchoźników. Można było mieć krowe, młode ciele i dwie owce albo świnie. Nie więcej niż piętnaście kur.

Gdy wybuchła wojna, pozabierano wszystkich mężczyzn ze wsi. Cała praca spoczęła na barkach kobiet. W tej najbardziej drastycznej fazie werbowali mężczyzn do 60 roku życia. Nikołajewka liczyła 2 tys. mieszkańców. Z tysiąca ludzi, których zabrali na front, a zabierali dosłownie starców i dzieci, wróciła jedynie około 200 - 300 osób.

Wieści z frontu docierały do nas z opóźnieniem dwóch tygodni. Ale i tak bardziej wiarygodne były informacje, które w jakiejś tam zakamuflowanej formie przychodziły po miesiącach z Polski. Jeśli chodzi o wojnę, to ludzie radzieccy kompletnie nie orientowali się w sytuacji, nie zdawali sobie sprawy z nadciągającego zagrożenia. Tam mieszkali przecież ludzie, którzy nigdy w życiu nie widzieli pociągu. Pierwszy raz ujrzeli na własne oczy samochód, gdy do wsi zajechali NKWD. A było to w 1928 roku, dopiero wtedy dotarła tutaj władza komunistyczna. Starzy ludzie często wychodzili na pole i nasłuchiwali odgłosów wybuchających pocisków. To był jeden ze sposobów zasięgania informacji. Poza tym ludziska przychodzili do nas - Polaków, pytali o wieści z frontu.

O wojnie mówiło się jednak niewiele. Ale byli wśród Rosjan i tacy ludzie, którzy mówili: lepiej, żeby tutaj Niemcy przyszli, może by się skończył komunizm i kołchozy. Tak mówili starzy. Młodzi byli innego zdania, oni wierzyli w rosję radziecką. Zresztą młodych było wtedy niewiele, wszyscy pojechali na front. A stare babki, czy nawet młodsze kobiety, były bardzo ograniczone, nic z niuansów polityki do nich nie docierało. Najwyżej płakały po swoich Wojtkach, Waniach, Kostiach, i tak dalej.

Tam nie miał się kto polityką interesować. Mówiło się o wojnie wtedy, gdy ktoś wrócił z frontu. Wracał oczywiście jako kaleka, bo innych do domu nie puszczali. Opowiadał wtedy o okrucieństwach, nigdy natomiast nie wspominał o porażkach, o tym, że Armia Czerwona bezustannie się cofa. Słyszeliśmy tylko, jakie to dzielne są "Russkije Sołdaty". Od polityki my Polacy staraliśmy się być jak najdalej, wiedzieliśmy, co nam grozi za każde, nieopacznie wypowiedziane słowo.

Pamiętam, że we wsi była wspaniała cerkiew, składano do niej ziarno. Na tejże cerkwi utrzymał się jeszcze prawosławny krzyż. Tuż przed wojną kołchoźnicy zdecydowali krzyż zdjąć. Znalazł się ochotnik, nazywał się Iwan Popow, zapamiętałam to nazwisko, wstrętna chamska gęba. Iwan zbudował specjalnie rusztowanie i polazł na szczyt cerkwi. I zrzucił ten krzyż. Jakaś kobieta, która przypatrywała się temu wszystkiemu, religijna, mocno wierząca, krzyknęła na ten widok: "A bodaj cię pierwsza kula nie minęła". Popow zrzucił krzyż na ziemię i podeptał nogami. Potem resztki krzyża zabrano na złam. A z Popowem stało się tak, jak przepowiedziała starowinka. Zabrali go do wojska i faktycznie zginął w jednej z pierwszych potyczek. W trzy miesiące jak go zabrali, Popowa dostała list, że jej syn zginął na polu chwały. Gdzieś koło Leningradu.

Jeszcze jeden moment z cerkwi pamiętam. Jak zabrali stamtąd całe zboże na front, to w opróżnionej cerkwi ~~XXXXXXXX~~ zorganizowali zabawę. Bawiono się przy kołchoźniku. I my, Polki, które się temu przysłuchiwałyśmy nagle słyszemy głos: "Tie pier igrajem ruskij narodnyj taniec - krakowiak". Myśmy zdębiały. I faktycznie, zagrali naszego popularnego krakowiaczka. Pomyślałam sobie wtedy - co stało się z naszą Polską, skoro krakowiak nazywają już rosyjskim tańcem narodowym.

Rosjanki chodziły na zabawy taneczne w naszych koszulach nocnych. Uważały je za suknie balowe. Chociaż tę miałyśmy satysfakcję, to drobne poczucie wyższości.

My, Polki, byłyśmy silnie wyizolowane z tamtejszej społeczności. Nie uczestniczyłyśmy specjalnie w rosyjskich zabawach. W Nikołajewce trudno było mówić o jakiejś innej formie rozrywki. Pozostawały nam książki, przysyłane od czasu do czasu z Polski. Były one wręcz roszywane, traktowane jak największa świętość, czytane przez wszystkich po dziesięć razy. Poza tym miałyśmy do dyspozycji książki rosyjskie, ale i to z powydzieranymi stronami na bibułki do papierosów.

Moja córka poszła do szkoły już w 41 roku. Wydawało mi się, że polskie dzieci będą traktowane bardziej liberalnie, nie prześladowane, nie poniżane. Wysłałam córkę do szkoły z ufnością, z nadzieją, że rosyjska szkoła jest tylko szkołą, nie poligonem, na którym uczy się nienawiści do wszystkiego co niezgodne z naczelną, jedynie słuszną ideą.

Pierwszego dnia, kiedy Inka zjawiała się w szkole, pani nauczycielka przedstawiła ją dzieciom: "Rebjata, to dziewczynka przyjechała do nas z Polski, z kraju, który jest wrogiem państwa radzieckiego, z kraju wyzyskiwaczy i kapitalistów." Na szczęście dzieci stosowały nieco inne kryteria przy ocenie swoich rówieśników. Jakie córka miała koleżanki. Wszystkie były córkami kołchoźnic. Ich rodzice najczęściej nie reprezentowali większego poziomu intelektualnego, była to zwykła ciemnota. Dopiero ich dzieci nabierały nieco ogłady. Większość się jeszcze krzyżkiem podpisywała. Ale niektóre dziewczynki były wcale miłe i grzeczne. Inka miała taką jedną koleżankę, nazywała się Nusia. Córka pomagała jej dużo w nauce, szczególnie w matematyce i innych przedmiotach ścisłych, oczywiście poza rosyjskim. A Nusia, jak się potem okazało, potrafiła się odwdzięczyć. Kiedyś Inka ciężko zachorowała. Trzeba było ją czymś lepszym odżywiać. Ja nie miałam niczego poza pszenicą. I właśnie wtedy pomagała nam Nusia. U niej w domu piekło się takie maleńkie podpłomyki, ale z masłem czy śmietaną, czego my wtedy absolutnie nie znałyśmy. Podpłomyki były kruche dzięki temu jak ciasteczka.

A ponieważ matka i babka nie pozwalały jej wynosić ciasteczek z chłupy, to ona wkradała się do spiżarni i żeby nikt nie widział, chowała ciastka w mąjteczki. I w mąjtechkach przynosiła podpłomyki chorej Ince.

Przed wojną w Nikołajewce odbywały się targi. Zjeżdżali się na nie kołchoźnicy z pobliskich wsi. Przeważnie kwitł handel zamienny. Ja zarabiałam później 400 rubli, mogłam kupić za nie kilogram masła albo 20 jaj. Doskonałym towarem na wymianę był ~~XXXX~~ samogon, można było kupić za niego bardzo wiele rzeczy. Polacy alkoholu nie pędzili, nie mieli z czego i na czym. Chyba jedynie Szukałowie pędzili. Mąż był mechanikiem o złotych rękach. Robił talerzyki z puszek po konserwach. I on właśnie skonstruował aparaturę do produkcji bimbrowu. Jeśli w rodzinie był mężczyzna, wszystko układało się zupełnie inaczej. U nas były takie trzy, może cztery rodziny.

Po wybuchu wojny targi odbywały się już rzadziej, ale za to w 45 roku pojawił się większy wybór towarów. Ten, kto miał kogoś w wojsku dostawał wspaniałe paczki. Przychodziły zasłony, firany sztucze, rzeczy tutaj dotąd zupełnie nie znane. Dzięki temu rodziny żołnierzy stawały się niezmiernie, jak na tamte warunki, bogate. Po 45 roku nieco się więc na wsipoprawiło. Niewiele się rzeczy na Syberii marnowało, tam wszystko stanowiło towar, począwszy od krowiego łajna, które służyło za opał. Tam jak ktoś miał psa i przestał mu się podobać, to go wieszkał, następnie zdzierał skórę i robił rękawice. Na przykład taki kot syberyjski był prawdziwym skarbem, z jego puszystego futra robiło się wspaniałe rękawice.

Pamiętam taką jedną targową przygodę. Byli z nami państwo Sakowczowie, bardzo miła rodzina. Ona na początku zapowiedziała: "Nie cierpię Rusków i nie nauczę się po rosyjsku mówić, sława nie powiem! Niech ich szlag trafi - powtarzała. I mówiła tylko po polsku. Kiedyś poszliśmy na targ. Ona chciała kupić żyta na chleb. Widzi chłopca z workiem, podchodzi do niego i pyta: "Prodasz rożu". A on na to: "Idzi ścierwo". I obrzucił ją wiązanką najgorszych przekleństw. O co chodziło: roża to po rosyjsku znaczy morda, żyto to roż.

Oprócz Rosjan, tereny, na które nas zesłano, zamieszkiwali Kirgizi. Był to naród z natury koczowniczy, Kirgizi mieszkali we własnych wioskach - aułach. Ich pasją były konie. Swojego czasu przemieszczali się z miejsca na miejsce, szukając lepszych terenów pod wypas. Potem władza sowiecka ich osiedliła, przydzieliła specjalny obszar, poza który nie wolno im było się oddalać. Tereny rosyjskie od kirgiskich oddzielał Iszym, dopływ Irtyszu. Kirgizi mieli urodę azjatycką, oczy skośne, kości polczkowe bardzo wystające. Kirgizki były bardzo szczupłe, nosiły przeważnie bardzo długie spódnice.

Dla kirgizów największą radością było dostać "kirpicznyj czaj" - zieloną herbatę, która była sprzedawana w cegiełkach. Czaj był dla nich napojem przy każdej okazji. Kirgizi kultywowali pierwotne obyczaje. Jeżeli byłeś u nich w domu, to przyjmowano ciebie ze wszystkimi honorami. Nawet gospodarz zaproponuje, że pójdzie z tobą do łóżka. A jeżeli mężczyzna nocuje u Kirgiza, to proponuje własną żonę. Tacy są gościnni. No i zawsze częstują herbatą z mlekiem - inaczej nie piją. I dopóki byłeś i izbie, włos z głowy ci nie spadnie. Nic ci nie ukradną, nic ci nie poruszą. A z chwilą, jak już wyszedłeś na drogę, to możesz nagle stać się ich wrogiem. Mogą cię zabić czy ograbić bez skrupułów. Taki naród.

Teraz parę zdań o syberyjskiej przyrodzie i klimacie. Jak pracowałam w szkole agrotechnicznej musiałam jeździć do Pietropawłowska ze sprawozdaniami, zimą nie zimą. A było to jakieś 120 - 140 km. Zwykle jechałam z przewodniczącym kołchozu. Jechało się saniami zaprzężonymi w woły. Dokoła rozciągała się biała pustynia, żadnego śladu życia, wszystko zasypańr śniegiem. Idziemy za saniami, bo woły już nie mają siły ciągnąć, wleczeniemy się krok za krokiem. I nagle przed nami dziwne zjawisko. Równina śniegu i z niego snuje się w górę dym. Wulkan, nie wulkan, byliśmy zaskoczeni. A to był komin. Domy były całkowicie zasypańe śniegiem, oczyszczano tylko kominy. Każdą tamtejszą chałupę otaczał tzw. "łapaz"



- zagroda zrobiona z żerdzi. Na to na zimę kładło się siano, tam nie znano stodoł. Zboże leżało zimą pod specjalnymi daszkami i oczywiście część z niego marniała. Dzięki temu zagrodzeniu, obsypanemu sianem, śnieg zatrzymywał się tworząc jednocześnie swoisty strop. Dzięki temu na podwórzu śnieg nigdy nie leżał. Z podwórka było przejście do obórek. Co to były za obórki! Ściany plecione z patyków, oblepiane gliną. Mróz w takich obórkach był taki sam jak za zewnątrz, tyle tylko, że ściany chroniły nieco od wiatru i śniegu.

Domów spod śniegu nie było absolutnie widać, dopiero od strony, gdzie latem było wyjście na pobórko, drążono w śniegu tunel. Nieraz bywały takie śniegi, że ludzie nie mogli się odkopać. Musieli budować całe tunele. Jedno, co dobre, to że nie musieli dbać o wodę, w razie potrzeby topili śnieg.

Woły szły po śniegu krok za krokiem, co chwila zapadając się. Na szczęście, zawsze tam jakiś był ślad na śniegu i po tym śladzie się zwykle jechało, nie mając pewności, czy doprowadzi nas akurat do celu.

Kiedyś wracaliśmy z Pietropawłowska z przewodniczącym. Zanocowaliśmy we wsi u gospodarza. Następnego dnia gospodarz zaproponował nam, żebyśmy jeszcze jeden dzień przeczekali, bo mróz był akurat potworny. Ale Przedsiadaciel się uparł, koniecznie chciał jechać. No i pojechaliśmy. Ujechaliśmy jakieś 2 - 3 km., patrzymy a tu coś leży pod śniegiem. Zatrzymaliśmy się, przewodniczący z woźnicą - Kirgizem zaczęli odgrzebywać śnieg. To był mężczyzna, wyciągnięty na całą długość tułowia. Zamrożnięty na kamień. Musieliśmy położyć go na sanie i odwieźć do wsi.

Na wiosnę pojechałam do Pietropawłowska po żywność dla chłopców ze szkoły. Ale gdy wracałam, akurat wylał Iszym. Musiałam całą żywność zostawić w Archangielce a do Nikołajewki przepравиłam się na maleńkiej łódce "duszogubce". Przeprawiał mnie Kirgiz. A przecież to było jakieś 18 km. jazdy łodzią przez step. Wody było jak okiem sięgnąć. Do tego duże fale, czasem prąd niósł kłody, bardzo niebezpieczne. Trzeba było tych przeszkód unikać. Parę godzin jazdy taką łódką wyczerpywało człowieka całkowicie.

Przez całą wiosnę nie mogli tej żywności w żaden sposób zabrać. Było to możliwe dopiero parę miesięcy później. Gdy opadła woda, pojechano do wsi. Na miejscu okazało się, że zniknęła część żywności. Podejrzanie padło natychmiast na mnie. Na szczęście wtedy miałam już doświadczenie i nie dałam się wrobić w tę całą sprawę. Jak zdawałam żywność, zażądałam ~~XXXXXX~~ pokwitowania. To pokwitowanie odsuwało ode mnie wszelkie podejrzania. Miei to zaskarżyło mnie do prokuratora. Znowu trafiłam do pana Zaporozca. Ale tym razem rozmowa była krótka, pokazałam mu pokwitowanie i zostałam od razu uniewinniona. Okazało się, że żywność zdefraudował przewodniczący. Część żywności sprzedał, część zabrał do domu. Ale kruk krukowi oka nie wykole, sprawa została umorzona.

Tak na marginesie moich wypraw po żywność dla chłopców ze szkoły. Najbardziej w tym wszystkim dziwne było to, że najpierw zwożono całą żywność z kołchozu do stolicy województwa, aby potem, w formie przydziałów, przywieźć ją z powrotem. Przykład ten był charakterystyczny. Z podobnych paradoksów składał się cały system. Osobiście, najbardziej bolało mnie marnowanie tych ogromnych połaci uprawnej ziemi, która leżała odłogiem. Gdyby ktoś zechciał ją obsiać ziarnem, stałby się przestępcą. A jednocześnie wszyscy walczyliśmy ze straszliwym głodem.

Teraz trochę weselszych momentów. Jednym z najważniejszych dni w roku było dla nas - Polaków, Boże Narodzenie. Pamiętam, jak w Wigilię ścieliłyśmy dużą ławę prześcieradłem, bo obrusów tam nie było. Podobnie wielki kłopot był z talerzami i sztućcami. Kto co miał, wyciągał na stół. Robiło się kluski z makiem. Chyba kiedyś była nawet ryba, kupiliśmy ją od jakiegoś wędkarza, czy rybaka - amatora. I tak wyglądała nasza wigilia. Ponieważ nie było żadnych jodełek, stół stroiliśmy gałązkami brzozy, kolorowymi papierkami. A skąd papierki? dostawałyśmy listy z Polski w kopertach elegancko wyściełanych właśnie takimi papierkami. Robiło się z nich także łańcuchy.

Pamiętam, że na Wigilię "wytrzasnęliśmy" jakąś świeczkę. W dzień powszedni oświetlałyśmy izbę tzw. "wilczymi oczkami". Były to zrobione z blachy puszcзки, wypełnione jakimś tłuszczem, z bawełnianym knotem. Paliło się to niewielkim płomyczkiem. Opłatka nie było, dzieliłyśmy się chlebem. Siedzieliśmy wszyscy dokoła ławy. Pani Giedrojciowa zaczynała od razu śpiewać kolędy. Śpiewałyśmy i wspominałyśmy nasze wigilie w domu, jak bardzo różniły się od tych tutaj. Były też takie wigilie na Syberii, kiedy nie miałyśmy ani ryby, ani klusek, najwyżej powszednie podpłomyki i chleb. X

Jakie przygody przeżyłam. Jechałyśmy kiedyś do Pietropawłowska. I rozległ się nagle straszny krzyk na polu. Kobiety pracujące w kołchozie, mające małe dzieci, zabierały je ze sobą w pole. One, powiedzmy, kopią ziemniaki a dziecko bawi się gdzieś tam obok bez opieki. A na Syberii żyją tak zwane birkuty - potężne orły. Co się stało - birkut porwał dziecko. Ale zdołał unieść je na wysokość najwyżej trzech metrów i upuścił je, bo było za ciężkie. Dziecko nie zabiło się, ale miało połamane nóżki, czy rączki. Kiedyś pojechałyśmy grabić siano w pole. A upał był niesamowity. Bo lata tam były niezwykle upalne. W maju mógł jeszcze spaść śnieg, ale w lipcu - czerwcu, upał lał się dosłownie z nieba. Wół poniósł mnie z grabielnią, jak nieprzytomny, żeby w krzaki wlecieć i otrząsnąć się od gzów. Wleciał, zaczepił kołami i nie mogłam go stamtąd wyciągnąć. A zaraz brygadzysta zobaczy, że rząd jest niezgrabiony i potem jest nieprzyjemnie, bo ruga, wyzwiskami rzuca, potrafi nawet uderzyć. Złazłam z tej grabielni, żeby wołu wyprowadzić z krzaków. Patrząc na ziemi leży gniazdo, zrobione z patyków, misternie wyściełane. W gnieździe siedzą dwa birkuty. Zbliżyłam się do gniazda i wzięłam jedno pisklę na rękę. Jak mnie się wbił w rękę, to prawie całą przedarł na wylot, ledwie go rzuciłam. A gdyby nadleciał stary, to zostałabym bez oczu. Bo one tak walą skrzydłami, tak się wpijają pazurami we włosy, że prawdopodobnie by mnie wykończył.

Co mi jeszcze pozostało i Syberii: mania robienia zapasów. Ja wiecz-  
nie boję się głodu, że może zabraknąć. I jak były te trudności aprowi-  
zacyjne w 80 - tym roku, ja wszystko, co było można, ciągnęłam do domu.  
I do dzisiaj nie ma u mnie tego, że ostatni woreczek mąki zabieram  
do ciasta. Ja inaczej już nie potrafię gospodarować. A to są cech pozos-  
tałe z Syberii. Obawa przed głodem. XXXX

Kiedyś za swoją pracę u gospodyni, bodajże za rąbanie drewna dos-  
tałam kurę, pierwszą swoją kurę w gospodarstwie w Nikołajewce. Kura była  
oryginalna, upierzeniem zbliżona do kuropatwy. Tak, że jak ona siadała w  
trawie, nie można było jej dostrzec. A umiała chować się znakomicie.  
Jeśli jest kura, to muszą być i jajka. Z niecierpliwością wyczekiwałyśmy  
aż nasza kurka coś zniesie. Ale nie mogłyśmy jej upilnować, córka szła  
do szkoły, ja do pracy - nie mogłyśmy znaleźć. I była rozpacz, bo jajko  
było tam wręcz na wagę złota. Sytuacja powtarzała się regularnie, jak  
w bajce. Nie mogliśmy wybadać, gdzie są jajka. I któreś niedzieli, dwa  
czy trzy tygodnie potem Inka mówi: "Do licha, muszę ją upilnować".  
Wlazła na łapaz, czyli na płot, siadła i pilnowała. No i kura wylazła. Idzie  
do ogrodu gospodarza i skręca w kierunku ubikacji.

, A ubikacje, tak na marginesie, to były potworne. Ścianki robiono  
z tzw. pletni, czyli z takich płacht splecionych z wikliny czy brzozy.  
Nad dołem wykopanym w ziemi leżała deska. Musiałeś stawać na tej desce  
i...robić.

A kura upatrzyła sobie miejsce między płotami i tam Inka znalazła  
z tuzin jaj. Radość była nie z tej ziemi. Bo wtedy 12 jajek to było bo-  
gactwo. Potem dostałam jeszcze jedną kurę i jeszcze jedną. Tak, że w sumie  
miałyśmy ich chyba z pięć, ale to już po 45 roku.

Co było dla nas najstraszniejsze - karaluchy. Tysiące w każdej  
chacie. Skąd tyle robactwa. Każdy gospodarz, jak się krowa ocieliła, czy  
owca okociła, na zimę zabierał młode do izby, żeby nie pomarzły. Prze-  
cież, jak jest 30 stopni mrozu, to nie jest w stanie wytrzymać takie małe  
stworzenie. Najczęściej tak urządzano chatę, że przy piecu wmurowywano  
okółko i do niego przywiązywano zwierzę. W podłodze wywiercona była dziu-

ra, do której spywały wszelkie zwierzęce nieczystości. Brud i smród nie z tej ziemi. Na skutek tak fatalnych warunków sanitarnych, karaluchów było tysiące. Do dziś pozostał mi od tego okropny wstręt do wszelkiego robactwa. Jak Inka wychodziła do szkoły, jak do pracy, drzwi były przez cały czas zamknięte. Jak po powrocie otwierało się drzwi, to bez przesady, setki karaluchów siedziało na framudze. Co my robiłyśmy w takiej sytuacji: miałyśmy miskę do mycia, przywiezioną jeszcze z Polski, kochany nasz skarb. Nalewałyśmy do niej wody. Następnie nakładałam na patyk korę brzożową, zapalałam i po tej oblepionej robactwem framudze przejeżdżałam. Karaluchy sypały się z popalonymi skrzydłami na podłogę i do miski. Wtedy zamiatałyśmy to wszystko czym prędzej i sypałyśmy na podwórko - dla kur. Ale chociaż karaluchy w ten sposób ginęły codziennie setkami, nic nie pomagało. Stosowałyśmy również boraks, specjalnie przesłany w tym celu z Polski, nic nie pomagało. Jedynie kury były naszym sprzymierzeńcem w walce z robalami. Żarły karaluchy niczym przysmak. Najgorzej było w nocy przed zaśnięciem, słychać było jak karaluchy wędrują po ścianach, wspinają się na sufit. One wchodziły na strop celowo, żeby potem spaść na twarz, żeby wybrać jakieś resztki jedzenia z kącików warg. Karaluchy była dla mnie straszniejsze od wilków.

Kiedyś pracowałam w ~~kałkaxixix~~ w ogrodzie u jakiegoś kołchoźnika. Za pracę dał mnie w formie zapłaty wielki zwój grochowin. No i te grochowiny, oczywiście z triumfem przyniosłam do domu, położyłam na podłodze, żeby trochę podsuszyć. Gdy groch przysechł, przystąpiłyśmy z córką do łuskania. Już wszystko zrobiłyśmy, grochu było ze dwa kilo. Po wszystkim poprosiłam córkę, żeby umyła podłogę. A ponieważ podłoga była drewniana, proces mycia przebiegał specyficznie. Miało się taki specjalny przyrząd - skabiełkę, ostry kawałek żelaza. Skrobało się nim deski. Tak, że podłoga była nieraz bielsza od stółu. No i Inka myła tę podłogę. A w podłodze były porobione dziury do odprowadzania gnoju. Ona myje podłogę, patrzy, a tu w dziurze siedzi tarantula. Jak nie wrzaśnie moja

dziewczyna. Wylazł ten pająk z dziury, a na łapach wynósł tysiące małych pajęczków. Tak, że gdyby go zdusię na miejscu, to byłby już koniec. Małe pajęczki porozłaziłyby się po całej izbie a wtedy nie pozostałoby nym nic innego, jak po prostu spalić całą chałupę.

Jeszcze jeden przypadek. Kopałyśmy kiedyś ziemniaki, a mnie już strasznie plecy bolały. I kopałam na klęczkach. I czuję w pewnym momencie, jak coś mi lezie po udzie, pod nogawką. Pomyślałam: "Co ja mam teraz zrobić" Tarantula jak ugryzie w czasie rui, to może przynieść bardzo poważne konsekwencje. Co je robię, w pewnym momencie chwytam jednym pewnym ruchem przez spodnie tego pająka, błyskawicznie odciągam od skóry i duszę przez materiał, aż do skutku, aż trzasnęło. Potem wytrzasnęłam tę całą masę, małe pajęczki - okropne.

Teraz trochę o naszych domowych zwierzakach. Zwierzęta odgrywały w naszym syberyjskim życiu ogromną rolę. Pomagały przetrzymać chwile depresji, poczucia fatalnej samotności. Zawsze coś tam się plątało przy nogach, co można było pogłaskać, dać odrobinę ciepła. Kiedyś wróciliśmy na odpoczynek z tajgi do Nikołajewki. I było mnie wyjątkowo smutno. Bo każdy wrócił do kogoś. A ja miałam tylko małą córkę. Siedziałam i myślałam, co tu zrobić do jedzenia, a byłam strasznie zmęczona. I w pewnym momencie, drzwi były otwarte na dwór, wszedł kot. Obrzydliwy - bez ogona, zaropiałe oczy, białoszare plamy. I wszyscy zaczęli krzyczeć: "psik". A ten kot podszedł do mnie i wskoczył na kolana. Ja go przykryłam swetrem, pomyślałam: niech siedzi, nikomu nie przeszkadza. Siedział tam, ruszał się na tych kolanach. I w pewnym momencie poczułam, że mi się zrobiło mokro. Przykro mi było, że zaraz zaczną się ze mnie śmiać, że mi kot narobił na kolana. Odkrywam sweter, a tam już leżą dwa kociaczki. Położyłam je do skrzynki. Wszyscy zaczęli krzyczeć, żeby te kociaczki wyrzucić. A ja schowałam je pod łóżkiem i powiedziałam, że to moje miejsce i ja będę decydować, co pod łóżkiem będzie leżeć, a co nie będzie.

Dzieliłyśmy się z tymi kociakami wszystkim, co miałyśmy. Kociaki były precudne - sybiraki. Jednego sybiraka oddałam w dobre ręce, jednego zostawiłam sobie. A kotka wykarmiła swoje kociaki i poszła. Podobno była własnością jakiegoś Kirgiza. A oni nigdy nie karmią kotów ani psów. Twierdzą, że muszą się same wyżywić.

Ta koteczka rosła sobie między Inką a mną. Nazwałyśmy ją Marta. Nadzwyczajna była, przywiązała się do nas strasznie. Jak Inka szła do szkoły, to Marta odprowadzała z ogonem postawionym do góry. Do pewnego miejsca, potem wracała. O określonej godzinie kot znowu wychodził, tym razem na spotkanie. I wracały do domu już razem.

Kiedys córka zachorowała strasznie - na żółtaczkę. Trzeba było jej dawać rosół, koniecznie. Irena wajner - nasz doktor, powiedziała, że muszę podawać jej rosół po łyżce, dwie, co godzinę. Skąd ja wtedy miałam wziąć kury - po prostu kładłam. Na haczyk nakładało się jakiś kawałek starego mięsa, cz wręcz kawałek chleba i rzucało na sznurku na podwórze. Kura połykała, wtedy trzeba było mocno szarpnąć. Kura krzyczała, trzepotała skrzydłami. Prędko się ciągnęło tę biedną kurę pod płot, kręciło głowę, pod pazuchę i do domu. W ten sposób zdobywałam mięso na rosół i w ten sposób córkę uratowałam. A nasza kotka, kiedy Inka zachorowała, przynosiła jej myszki, przynosiła żaby i wszystko kładła na poduszkę. Obrażona było, że Inka nie je, miała czuć, chodziła, ocierała się o nią, zapraszała żeby Inka koniecznie tę mysz zjadła.

Kiedy wyjeżdżaliśmy trzeba było kotkę oddać. I oddałyśmy ją w dobre ręce - nauczycielce Inki. Ona mieszkała na przeciwległym krańcu wsi, czyba z 1,5 km. Odniosłyśmy jej kotkę, kotka po dwóch dniach wróciła, odniosłyśmy drugi raz i drugi raz kotka przyszła. Obie z Inką płakałyśmy.

Jeszcze parę słów o naszej śwince. Dostałam ją za dobry bilans w szkole agrotechnicznej. Prosie miało wtedy ze 4 - 5 tygodni. Nazwałyśmy ją Zinka. Właziła nam do łóżka i spała między nami, jadła ze spo-

deczka. Robiła się coraz większa i większa. Trzeba było jej zrobić specjalną skrzynkę, w której spała. Ale lubiła nam wleźć do łóżka. To ja mu siałam huknąć: "Zinak, na miejsce.", to ona pędem leciała do swojej skrzynki, wskakiwała, piszczała, podrzucała ryjkiem słomę, żeby się nakryć. Bo zimno było w naszej izbie, czasem aż woda zamarzała w wiadrze.

Zinka jała wszystko to, co my. Była już do tego przyzwyczajona. Gdy nie miałyśmy już siły, żeby jej coś przygotować, dostawała surowe ziemniaki i suchą pszenicę i też była zadowolona. Kiedyś Zinka zachorowała nam na różyczkę. Poleciałam do lekarza i powiedziałam, że cierpię na straszną gripę. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że chodzi o świnię, z miejsca by ją zabili. Dostałam chininę czy aspirynę i dawałam jej te specyfiki. I wyleczyłam ją. Potem, z wdzięczności, Zinka chodziła za nami krok w krok, jak pies.

Ostatni gospodarz, u którego mieszkaliśmy, nazywał się Małow. Małow skaleczył naszą świnkę widłami. Zrobił to z zazdrości. Uderzył ją w grzbiet i złamał kręgosłup. Trzeba było prosić, żeby dorznąć naszą biedną Zinkę. Kiedy ją zarżnęli, okazało się, że miała w sobie 12 prosiaczków. Gdyby nasza Zinka zdołała się okocić, byłabym bogaczem, jak na tamte warunki.

Jak mieszkaliśmy u pani Karczaginy, jaj córki wyjechały do Omska. Ona miała maleńkie koźlęta, na zimę zabrała je do izby. Chyba nie ma na świecie zgrabniejszego stworzenia od tych kózek. Bo naszych, polskich, do syberyjskich to w ogóle nie można porównać., tam są tzw. puchowe. Między skórą a sierścią występuje u nich puch. Ten puch wyczesuje się i każdy gram liczony jest na wagę złota. Z tego jest piękna wełna. Na przykład, jak robisz z tego chustę, która ma 1,5 metra, to możesz ją w garści schować, taka maleńka jest. Cóż to za diablęta! Jakież one zgrabne! jak cudownie się bawią! Skaczą z tych czterech nóżek, jeden na drugiego, łebki nadstawiają, uderzają się nimi. Na twoje łóżko wskakują bez żadnego problemu. Skoczy i patrzy, co ty będziesz z nim robiła, czy będziesz się bawiła z nim, czy będziesz go goniła stamtąd.



Przewspaniałe, nawet nie zwrócisz uwagi na to, że brudzi, że śmierdzi. Dlatego, że była z nich tyle pociechy po powrocie z pracy. ~~W~~ Zawsze w naszej izbie jakieś zwierzę było, dlatego z córką do dziś tak kochamy wszelkie stworzenia.

Między Polakami solidarność była nadzwyczajna, dopóki nie było nic. Dopiero, gdy Czerwony Krzyż, czy jakaś inna organizacja, zaczęła przesyłać stare płaszcze, suknie, kalesony dla Polaków, układy się pozmieniały. Otworzy się w Presnowce Komitet, wszystkie dary szły tam. Ale zanim doszły lepsze rzeczy były już wybrane. A to, co trafiło do komitetu, komitet dzielił. Niesprawiedliwość była okropna: dzieci do sześciu lat dostawały kakao, mleko w proszku, cukier, powyżej sześciu lat nie dostawały nic. I zaczęły się wielkie między Polakami niezgody, bo ta dostała piękny płaszcz, ta nie. Kalesony to był na Syberii dosłownie raj na ziemi. Podział tych szmat spowodował spory wśród Polaków, dawna solidarność przysła. Już nie było tak, żeby jedno za drugiego poszło w ogień. ~~W~~

Często było tak, że jedna drugą wyręczała w robocie, pomagałyśmy sobie wzajemnie kraść "kiziaki" - krowie odchody mieszane z sieczką, które służyły do palenia w piecu. Wspólnie kradliśmy zboże.

Teraz powiem o jednym niesamowitym momencie, To było wydarzenie, którego nie zapomnę do końca życia. Siedziałyśmy sobie baby w izbie wszystkie razem, nie pamiętam za jaką przyczyną. Słuchałyśmy kołcho - żników, to był takie głośniki, przez które ciągle puszczano nam muzykę i informacje z frontu. Słuchałyśmy sobie, słuchałyśmy od niechcienia i w pewnym momencie posłyszaliśmy polski hymn: "Jeszcze Polska nie zginęła." Następnie odezwał się głos po polsku: że wszyscy, którzy są w stanie ~~osiągnąć~~ udowodnić polskie obywatelstwo, będą mogli wrócić do kraju. I w tej chwili powstał jeden niesamowity ryk i płacz. Wszystkie jednocześnie padłyśmy na kolana. Jak grali mazurka to szalałyśmy, myślałyśmy, że nam krew mózg zaleje. Nigdy nie przypuszczałam, że można to w taki sposób przeżyć. Wszystko na kolanach klęczało, modliło się i płakało.

Pozostało więc udowodnić polskie obywatelstwo, spakować dobytek, pożegnać się z Syberią i wrócić do kraju. Wpierw należało potwierdzić własną tożsamość. Wpuszczali bowiem tylko Polaków. Kto nie miał żadnego świadka na potwierdzenie, już do kraju wrócić nie mógł. Wszystko jedno, mógł eś mówić po polsku czy po francusku - nie pościli. W ten sposób kilka osób pozostało. Jedna osoba została dobrowolnie - panna Giedrojć. Zakończyła się w jakimś NKWD-ście, który przyjechał na inspekcję z Leningu. Podobno wyszła za niego za mąż i wyjechała.

Pierwsza rzecz, jak przywieziono nas do Nikołajewki, zapytano nas, jakiego jesteśmy pochodzenia, narodowości, czy Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami czy Polakami. Wiele osób, w Nikołajewce jakieś trzy rodziny powiedziały, że są Białorusinami. I ci już zostali na stałe, nie pozwolono im wrócić do Polski. Białoruś przeszła pod panowanie radziecki i w związku z tym nie mieli prawa powrotu. Tak zostały Zinka Kuźmicka i Zosia Kulik z rodzinami. Ludzie początkowo byli przerażeni faktem, że muszą zostać. Potem jakoś się pogodzili z tym faktem. Zosia Kulik była żoną małego chłopca, nie odczuwała specjalnej miłości do ojczyzny. Jej dzieci szybko zaaklimatyzowały się w szkole. Zina Kuźmicka natomiast zażądała powrotu na Białoruś, do Baranowicz. I chyba ją tam przewieźli, ale przez granicę już nie przepuścili.

Co trzeba oddać, wystarczył najmniejszy dokument, żeby potwierdzić swoje pochodzenie. Na przykład, że płaciłeś jakiś podatek w Polsce. Ja miałam zaświadczenie, że pracowałam w magistracie w Baranowiczach. W siedzibie NKWD otrzymałam specjalną przepustkę upoważniającą do powrotu. Później, na podstawie tego dokumentu wyrobiłam sobie dowód osobisty, na miejscu, w kraju. Przepustka przypominała ulotkę, niebieska, podłużna kartka papieru w kolorze niebieskim. Było tam wymienione, że jestem obywatelem Polski i że mam prawo powrotu do ojczyzny.

W kwietniu ogłoszono nam prawo wyjazdu, w czerwcu ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy więc jeszcze dwa miesiące czasu na załatwienie wszelkich formalności, przygotowanie zapasu żywności na drogę.

Przyszło żegnać się z Nikolajewką i Syberią. Pozostał sentyment, nie ma mowy. W końcu przeżyliśmy tam sześć bitych lat. Był to dla nas niewątpliwie okres wielkich cierpień i upokorzeń, ale przecież zdarzały się i chwile radosne. Żyliśmy wśród surowej, ale i pięknej przyrody, wśród gromady życzliwych nam ludzi, tak samonoszukanym jak i my. Zawsze będę powtarzać: naród rosyjski jest wspaniały - bardzo dobry i gościnnie, pełen wrażliwości i uczucia. Okropni są jedynie ci donosiciele, co na każdym kroku podsłuchują cię, co mówisz. Ten step był cudowny. Gdyby nie wolno było już wrócić w ogóle, jakoś byśmy się zadomowili. Można było sobie jakoś tam byt polepszyć. Można było kupić jakieś stworzenie i odchowić. Były już więc jakieś perspektywy, oczywiście jak na tamte warunki.

Zaczęliśmy się zbierać. Rosjanie cieszyli się razem z nami. Pomagali nam, dawali suchary na drogę, sprzedawali masło, jakiś kawałek słoniny. Braliśmy cokolwiek, żeby mieć na drogę, nawet mąkę. Mięso suszyło się i zbierało do woreczków. Ja miałam jeszcze trochę mięsa z tej świnki, którą mi zabili. Poza tym nie zabierałam nic do Polski. Wracałam dosłownie goła.

Jak przyszła pora wyjazdu, załadowali nas na ciężarówki i powieźli, tak samo jak w tamtą stronę, po kilka rodzin w jedno auto. Zawieźli nas do Mamlutki. A w Mamlutce tragedia, bo nie ma pociągu. Siedzieliśmy tam jakieś dziesięć dni. Wyładowali nas na gołej ziemi, a to bał dopiero maj. Trzeba było czekać, a tutaj jedzenie się kończy i do tego zimno. Oczywiście ubikacji także nie było. wszyscy chodzili w pobliskie krzaki. Powietrze po kilku dniach stało się niezbyt czyste. Mogli dojść do epidemii, ludziska zaczęli chorować na grypę nie na grypę. Koniec końców - podali te wagony. Jak ludzie się rzucili, wszyscy chcieli zająć najlepsze miejsca. Jeszcze dzień czy dwa pociąg stał na stacji, ale już wtedy siedzieliśmy pod dachem, już nam nie było straszno.

Żyliśmy wielką nadzieją. Wiedziałam, że wracam do pustki, że będę zaczynać od zera. Ale możliwość powrotu do ojczyzny, okrojonej czy nie, szansa odnalezienia najbliższych, dodawały otuchy i budziły radość.

Wiedziałam, że granice się zmieniły. Wiadomości docierały do nas z opóźnieniem. Nie zaskoczyło mnie to specjalnie. To rozumiało się niejako samo przez się. Skoro Rosjanie weszli raz na te ziemie, to wiadomo było, że ich tak łatwo nie opuszczą. Spodziewaliśmy się, że zabiorą Białoruś, ale nie myśleliśmy, że również Litwę, Łotwę i Estonię.

Wracamy do Polski. Podróż była okropna, warunki podobne, jak w tamtą stronę, może nawet gorsze, bo im bardziej wjeżdżaliśmy na teren europejskie, tym napotykalismy na większe zniszczenia. Mosty były pozrywane, torry powyginane. Ale wracało się z radością. Na Wołdze wjechaliśmy na most, udało nam się dojechać tylko do połowy. Maszynista obawiał się, że wszystko może runąć. Nie mógł dalej jechać, powolutku, powolutku wycofał się i musieliśmy pojechać okrężną drogą. Najgorsza była jazda przez Ural. Wszędzie walały się porozbijane lokomotywy i wagony.

Pociąg dojechał do stacji Brześć. Tam zrobili nam kwarantannę. Kto miał jeszcze jakiś łańcuszek na szyi, jakieś kolczyki czy pierścionek to zdjęli. Przed przekroczeniem granicy zdołali jeszcze oczyścić do czysta, Polaków. Pociąg przejechał przez granicę. Wysadzono nas w Gnieźnie. Siedzieliśmy tam z dwa tygodnie zanim nas porozdzielali, oczywiście w wagonach. Dostawaliśmy jedzenie: zupy z chlebem, ser, smalec. W międzyczasie stopniowo nas rozładowywano. Zdecydowałam się na Bydgoszcz, bo tam mieszkała już moja matka. Przez jakiś czas mieszkałam z matką, potem wynajęłam mieszkanie. Władza nie zajmowała się nami w jakiś szczególny sposób. Nie spotkałam się również z jakimiś szykanami, z powodu, że byłam deportowana w czasie wojny. Jedynie Pomorzacy nas nie lubili, twierdzili, że ci ze wschodu zabierają im najlepsze miejsca pracy, że zabierają im chleb.

W tym miejscu kończę opowieść. Staralam się przekazać wszystko to, co zapamiętałam, możliwie wiarygodnie i bez emocji. Ale czy rzeczywiście mówić o tych czasach bez emocji jest możliwe, nie wiem

LISTA OSÓB - - - - -

- WITOLD SKOTNICKI - Urodzony w 1882 roku, porucznik rezerwy WP. Z zawodu inżynier agronom. Absolwent uniwersytetu w Halle. Krewny generała Stanisława Grzmota-Skotnickiego, Mąż Haliny Skotnickiej, Zginął w Kozielsku.
- HALINA SKOTNICKA - córka właściciela ziemskiego w Kmiciance, z domu Podhajska, żona Witolda, wykształcenie średnie. Wywieziona na Syberię w 1940 roku. Wróciła do Polski w 1946 roku. Zamieszkała w Bydgoszczy, obecnie na emeryturze.
- JAN PODHAJSKI - Urodzony w 1860 roku, ojciec rodu, właściciel majątku Kmicianka, ojciec Haliny, Witolda i Bohdana, mąż Józefy, z domu Godyckiej-Ćwirko. Zmarł w 1941 roku w Kmiciance.
- BOHDAN PODHAJSKI - Urodzony w 1901 roku, inżynier leśnik, studia w Poznaniu. Syn Jana i Józefy, mąż Wiesławy Grabiańskiej. Ojciec Janusza, Bohdana i Teresy. Wywieziony przez NKWD w 1940 roku, dalsze losy nieznane.
- WITOLD PODHAJSKI - Urodzony w 1904 roku, wykształcenie średnie, urzędnik sądowy. Przeżył wojnę na Kresach, przeniósł się do Polski, nie żyje.
- JÓZEFA PODHAJSKA - z domu Godycka-Ćwirko, urodzona w 1867 roku, żona Jana. Przeżyła wojnę na Kresach, zmarła w Bydgoszczy w 1951.
- JAN WOSZCZYNIN - właściciel majątku Ichnatowo. Rozstrzelany w 1940 roku w lasach kuszelewskich na Wileńszczyźnie.
- WŁADYSŁAW WALKOWSKI - Zięć Jana Woszczynina, rozstrzelany w 1940 roku w lasach kuszelewskich na Wileńszczyźnie.
- JAN MACHAJ - kierownik magistratu miasta Baranowicze. Komunistą, przedwojenny więzień Berezki Kartuskiej. Wywieziony przez Rosjan w 1940 roku, dalsze losy nieznane.
- WŁADYSŁAW CZYŻEWSKI - zastępca kierownika magistratu miasta Baranowicze. Oficer rezerwy, losy nieznane.

PANI OSTAPOWICZ - nauczycielka w Baranowiczach, nie podległa wywóźce, losy nieznane.

GUSTAWA KAMIENIECKA → Urodzona w 1903 roku. Nazwisko z domu - Orłowska. Przez okres wojny mieszkała w Baranowiczach, potem przeniosła się do Krakowa.

ANASTAZJA HRYŃKO - Białorusinka, pokojówka w Kmiciance, majątku rodziny Podhajskich. Przez okres wojny mieszkała w Kmiciance, po wojnie przeniosła się do Polski, zmarła w Słupsku.

STANISŁAW SKOTNICKI - generał WP, przydomek Grzmot, zginął w 1939 roku w bitwie pod Ostrołęką.

APANASEWICZ ojciec - Białorusin, stolarz, wywieziony na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wrócił do Polski w 1946 roku. Zamieszkał w Bydgoszczy, nie żyje.

APANASEWICZ matka - Białorusinka, wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wróciła do Polski w 1946 roku. Zamieszkała w Bydgoszczy, nie żyje.

APANASEWICZ BAZYLI - syn, żołnierz LWP, Białorusin, wywieziony w 1940 roku na Syberię. Wrócił do kraju, zamieszkał w Bydgoszczy, nie żyje.

KUŹMICKA ZINEIDA - Białorusinka, krawcowa spod Baranowicz. Żona kaprala WP, syn Jerzy, wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 powróciła na Białoruś.

KUŹMICKI ojciec - Polak, mąż Ziny, ojciec Jerzego, kapral WP, losy nieznane.

KUŹMICKI JERZY - syn Ziny, urodzony w 1936 roku, wywieziony na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 roku powrócił na Białoruś.

IRENA WAJNER - Urodzona w 1910 roku, uciekiniarka z Warszawy, lekarz medycyny. Zesłana na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 roku wróciła do Polski. Mieszka w Krakowie.

EUGENIA MONE - siostra Ireny, wykształcenie średnie, żona polskiego oficera, uciekiniarka z Warszawy. Zesłana na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 roku wróciła do Polski, dalsze losy nieznane.

- PANI WRÓBLEWSKA - matka Ireny i Eugenii, X uciekinierka z Warszawy,  
Zesłana na Syberię w 1940 roku. Wróciła do kraju w  
1946.
- MAŁGORZATA WAJNER - córka Ireny, urodzona w 1938 roku, wraz z matką  
wyjechała z Warszawy we wrześniu 1939 roku. Zesłana na  
Syberię w kwietniu 1940 roku. Wróciła do Polski w  
1946
- BARBARA MONE - córka Eugenii, wraz z matką wyjechała z Warszawy we  
wrześniu 1939 roku. Zesłana na Syberie w kwietniu 1940 roku  
Wróciła do Polski w 1940.
- KOROLEWSKA matka - rodzina rzemieślnicza z Baranowicz. W kwietniu 1940  
roku wywieziona wraz z trzema synami na Syberię.  
W 1946 roku wróciła do Polski.
- PAN BORÓWKO - Rosjanin wyznania prawosławnego, rodzina mieszczańska z Bara  
nowicz. Zesłany na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wyjechał  
z miejsca zesłania prawdopodobnie do Ałma-Aty. Dalsze losy n  
nieznane.
- Pani KONODOWA - zesłana na Syberię w 1940 roku.
- PANI PROŃKO - zesłana na Syberię w 1940 roku.
- ANNA GIEDROJĆ - Urodzona w 1902 roku, właścicielka majątku Łobzowo na  
Wołyniu, wykształcenie średnie. Matka Anny, Teresy i  
Michała. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku.  
Wyjechała do Rodezji ( Zimbabwe )
- ANNA GIEDROJĆ córka - urodzona w 1920 roku, córka Anny, obywatelki ziem-  
skiej z Wołynia. Wywieziona wraz z matką na Syberię  
w kwietniu 1940 roku. Wyjechała do Rodezji  
( Zimbabwe )
- TERESA GIEDROJĆ - urodzona w 1924 roku, córka Anny, obywatelki ziemskiej  
z Wołynia. Wywieziona wraz z matką na Syberię w kwietniu  
1940 roku. Wyjechała do Rodezji ( Zimbabwe )
- MICHAŁ GIEDROJĆ - urodzony w 1929 roku, syn Anny, obywatelki ziemskiej z  
Wołynia. Wywieziony wraz z matką na Syberię w kwietniu  
1940 roku. Wyjechał do Rodezji ( Zimbabwe )

- SZUKAŁOWA MARIA - rodzina rzemieślnicza. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 powróciła do Stargardu. Nie żyje. Matka Eugenii i Anatola.
- SZUKAŁOWA EUGENIA - córka Marii. Wywieziona wraz z matką na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 powróciła do Stargardu.
- SZUKAŁOW ANATOL - syn Marii. Wywieziony wraz z matką na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 powrócił do Stargardu.
- PANI NAUMOWICZOWA - rodzina rzemieślnicza, matka Władysława. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. W 1946 wróciła do Stargardu.
- WŁADYSŁAW NAUMOWICZ - syn - wywieziony wraz z matką na Syberię w 1940 roku. Wrócił do Polski w 1946.
- PANI BAZYLEWSKA - samotna, wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wróciła do Polski w 1946.
- PANI ŻUKASKO - samotna, wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wróciła do Polski w 1946.
- SAKOWICZOWA MARIA - nauczycielka, żona oficera WP, mały majątek pod Wilnem. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. Wróciła do Polski w 1946. Matka Zbigniewa.
- SAKOWICZ ZBIGNIEW - syn Marii. Wywieziony wraz z matką na Syberię w kwietniu 1940 roku. Powrócił do Polski w 1946.
- MIKAJ - rodzina żydowska - żona, mąż, syn, córka, pochodzili z Baranowicz. Wywiezieni na Syberię w kwietniu 1940 roku, dalsze losy nieznane.
- GOBRYK OLGA - Rosjanka, prawosławna, mieszkała w Baranowiczach. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku, karnie zesłana do Karagandy, dalsze losy nieznane.
- KULIK ZOFIA - Białorusinka, z Baranowicz. Wywieziona na Syberię w kwietniu 1940 roku. Podała obywatelstwo białoruskie, została na Syberii.

OGÓLNIEM: miejsce zesłania: Nikołajewka koło Petropawłowska.  
Wszystkie osoby z listy, bez podanego obywatelstwa, to Polacy.



Пролетары усіх країн, єднайтесь!

## Пасведчанне

Тав. Скотницька Гасяня  
Рухавор. електр. стан.

сапраўды з'яўляецца супрацоўнікам

Временнага Упраўлення  
г. Баранавічы

установы, прадпрыемства.

Часовае Упраўленне

г. Баранавічы

г. Баранавічы

№ 18

1939 г.

